№ 8. Warszawa, dnia 20 (8) Lutego 1886 r. Rok VI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2 k. 50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

„ŚRODKI OBRONNE."

Ks. Bismark nie grozi daremnie a polaków nienawidzi szczerze, już więc rozpoczął przeciw nim „działanie obronne" w Poznańskiem, na ile mu konstytucya pozwala. Atak do „średniowiecznej twierdzy" odbędzie się jednocześnie z kilku stron i postępuje szybko. Pierwszem mocnem uderzeniem jest nominacya ks. Dindera na arcybiskupa poznańskiego. Wyborem tym ks. Bismark pozbył się kłopotu, a Leon XIII zrzekł się patronatu nad dążeniami narodowemi katolików w Poznańskiem. Zachował on tam sobie jedynie tytuł głowy kościoła, ale opiekę — że tak powiemy — polityczną cofnął. Mianując Dindera rzekł on niejako do jego „owieczek:" o życiu swojem myślcie same, abyście tylko umierały w mojej wierze — no, i nie zapominały o ofiarach ze swojej wełny dla mnie.

Ustępstwo to kanclerz niemiecki oceniać musi bardzo wysoko, skoro oświadczył gotowość unieważnienia prawie wszystkich ustaw majowych. Wniósł on już do parlamentu projekt, znoszący egzamina państwowe dla duchownych oraz trybunał dla spraw kościelnych, a jednocześnie zezwalający na tworzenie konwiktów, niepodlegających kontroli władz świeckich. Rząd zatrzymał sobie tylko prawo wiedzy uprzedniej o nominacyach księży.

Jak widzimy za Dindera dał dużo, bo wszystko niemal, co katolikom przed 13 laty odebrał. Ale ten wypadek opłaci mu się — w Poznańskiem.

Jednocześnie zaatakowano żywioł polski od strony szkoły. Świeżo wniesiony został do sejmu projekt, orzekający, że „mianowanie nauczycieli i nauczycielek (w W. Ks. Poznańskiem, Prusiech zachodnich i okręgu regencyjnym opolskim) należy tylko do państwa; państwo przyjmuje na siebie pod względem utrzymania szkół ludowych na wsi te obowiązki, które według ogólnego prawa krajowego (Landrecht) spoczywały na właścicielach odnośnie do poddanych." Naturalnie wszyskie rozporządzenia poprzednie, o ile sprzeciwiają się obecnemu, mają być unieważnione. Dodać tu należy, iż zarazem przedstawiono sejmowi inny projekt, obostrzający kary za nieuczęszczanie dzieci do szkół początkowych (niemieckich) w Księstwie Poznańskiem, na Szlązku i hrabstwie Kładsko.

Trzeci atak wykonano ze strony sądownictwa. Koło polskie w Berlinie zażądało ustanowienia w sądach tłomaczów dla nieznających języka niemieckiego. Żądaniu temu odmówiono, natomiast polecono — jak widać z ostatnich obrad sejmowych — ażeby urzędnicy polskiego pochodzenia przenoszeni byli na posady w prowincye czysto niemieckie.

Najsilniejszym wszakże zamachem jest zapowiedziany przez ks. Bismarka a obecnie wyrażony we wniosku prawodawczym projekt wykupu ziemi z rąk polskich i osiedlenie na niej niemców. Mieści on w sobie tak rozległą i tak namiętnie germanizacyjną operacyę, że podajemy go w brzmieniu dosłownem:

„§ 1. Rząd pruski otrzymuje do rozporządzenia sumę *100,000,000 marek*, dla wzmocnienia żywiołu niemieckiego w prowincyach Zachodnio-pruskiej i Poznańskiej i zapobieżenia dążnościom polonizacyjnym za pomocą osiedlania włościan niemieckich i robotników; to jest, aby mógł z tego funduszu: 1) zakupować ziemię, i 2) pokrywać koszta, powstające z pierwszego urządzenia osadników i regulowania stosunków gminnych, kościelnych i szkolnych nowych osad średniego lub małego rozmiaru, albo nawet całych gmin wiejskich, jakie powstaną na gruntach zakupionych lub wydzielonych z dóbr skarbu.

§ 2. Przy rozdawaniu pojedynczych osad należy mieć na względzie, aby skarb państwa strat nie ponosił, a przeto ustępować grunta nowym osadnikom na własność, albo czasowo je wydzierżawiać.

§ 3. Kwoty, jakie z tytułu zwrotu kosztów przy nabyciu, czy też w formie czynszu dzierżawnego wpływać będą, obracane być mają na rzecz i cel funduszu w § 1 oznaczonego.

§ 4. Suma zakładowa funduszu, w § 1 wymieniona, utworzy się przez wypuszczenie odpowiedniej wysokości obligacyj procentowych. Czas, miejsce wypuszczenia, wysokość sztuk pojedynczych, stopę procentową i warunki spłaty i kursu tychże obligacyj oznaczy minister skarbu, stosując co do kontroli, umorzenia i przedawnienia procentów od tej pożyczki ogólne przepisy ustawy z d. 19-go grudnia 1869 r.

§ 5. Czynności sądowe, bezpośrednio z urządzaniem nowych osad związane, z wyjątkiem spornych, wpisy w księgach hypotecznych itp., będą dopełniane bezpłatnie i bez ponoszenia kosztów stempla.

§ 6. Sprawozdanie z obrotu funduszu i postępu wykonania ma być składane sejmowi corocznie.

§ 7. Wykonanie tej ustawy, o ile, jak w § 4, nie należy do ministra skarbu, będzie powierzone oddzielnej komisyi pod zawiadywaniem ministerium stanu."

Jakakolwiek — moralna, ekonomiczna, czy polityczna krytyka tego „środka obronnego" byłaby, mniemamy, trudem zupełnie zbytecznym, gdyż każdy z naszych czytelników na nią się zdobędzie; my zaznaczymy tylko, że ks. Bismark, posiadający stałą, poddańczą większość w sejmie i dla tej operacyi projektowaną ustawę zyska, chociaż to nie odbędzie się bez pewnego przymusu. Dopóki bowiem wywłaszczenie z ziemi polaków pruskich było pogróżką, frazesem parlamentarnym dopóty bardzo się „patryotom niemieckim"

podobało, jako „idea narodowa.“ Ale gdy od tych patryotów zażądano 100 milionów marek, rozweselone twarze przeciągnęły się smutnie wobec tego wydatku „narodowego.“ Rozczarowanie jest tem większe, że rząd nie opatrzył swego projektu żadnymi motywami, innemi słowy, nie usprawiedliwił dostatecznie swoich wymagań i zamiarów. Nawet w łonie konserwatystów odzywają się głosy, napomykające o potrzebie dokładnego przedstawienia stosunków w prowincyach polskich — ofiara zaś 100 milionów marek jest zbyt wielką, ażeby ją można było zaliczyć na ciemno. Niemiec z uczuć łatwo ostyga, a w każdej sprawie chce być szczegółowo objaśnionym, nawet wtedy, gdy z góry przyrzeka swą uległość. Skutkiem tego można się spodziewać bardzo burzliwych rozpraw.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Rokowania pokojowe w Bukareszcie trwają ciągle, ale coraz bardziej staje się widocznem, że obie strony nie zbyt wierzą w pomyślne zakończenie układów. Turcya i Bułgarya domagają się stałych rękojmi, Serbia znowu widocznie pragnie odwlec całą sprawę i nie zaprzestaje uzbrojeń. W Peszcie ogłoszono tworzenie legionu węgierskiego, który w razie wojny pospieszy na pomoc serbom. Wobec tego rząd bułgarski oświadcza, że przed 1 marca postawi również armię na stopie wojennej. Turcya przygotowuje się także do zbrojnego wystąpienia, w Grecyi ludność miejska popycha rząd do wojny, zjawiły się odezwy, grożące rewolucyą, jeżeli król i gabinet nie usłuchają głosu narodu. Nawet spokojna Rumunia, dotychczas zachowująca się biernie, przyspiesza roboty około ufortyfikowania Bukaresztu, sprowadza z zagranicy zapasy wojenne i powiększa armię o trzy pułki milicyi. Takie to są obecnie „pomyślne widoki utrzymania pokoju.“

Sprawa ugody turecko-bułgarskiej wysuwa się na pierwszy plan, od jej zatwierdzenia bowiem lub odrzucenia zależy w znacznej części dalszy przebieg wypadków na półwyspie Bałkańskim. Umowa ta korzystna bardzo dla Turcyi, która zamiast niepewnego lennika i gotowej oderwać się w każdej chwili prowincyi, pozyskuje silnego sprzymierzeńca, kosztem niewielkich ustępstw, niemniej korzystną jest i dla samodzielnego rozwoju Bułgaryi. Opieka turecka nie jest bynajmniej groźną dla młodego państwa, owszem daje mu możność skupienia i wyrobienia sił narodowych. Ale obie umawiające się strony zapomniały, że inne wielkie państwa mają, jak się mówi, swoje interesy na półwyspie Bałkańskim. Ugoda wywołała już uwagi lub protesty mocarstw, najenergiczniej wystąpiła Rosya, która jako opiekunka chrześcian bałkańskich oświadcza, iż nie może zgodzić się na oddanie wojsk bułgarskich w razie wojny pod komendę turecką, oraz na odnawianie co 5 lat nominacyi księcia Aleksandra na wielkorządcę Rumelii. Porta odpowiedziała już, że pierwszy sporny warunek jest tylko stwierdzeniem zwierzchniczych praw sułtana, na inne zaś zmiany przestanie chętnie, jeżeli mocarstwa zgodnie je zaproponują. Obecnie w przedmiocie tym toczą się poufne narady między gabinetami i dopiero wspólnie umówione punkty przedstawione będą do zatwierdzenia nowej konferencyi, jeżeli ta zbierze się kiedykolwiek.

W wiedeńskiej Radzie państwa lewica wniosła dwa projekty, jeden z nich miał na celu uznanie języka niemieckiego, jako państwowego, chociaż z pewnemi ustępstwami dla języków miejscowych. Rozumie się, projekt ten upadł, i takiż sam los spotka drugi, postawiony przez hr. Coroniniego, dotyczący ustanowienia osobnego trybunału dla sprawdzania wyborów, co dotychczas należy do parlamentu. Przeciw tym reakcyjnym zachciankom energicznie bardzo powstał Hausner, który zwrócił uwagę na niebezpieczeństwa, jakie grożą wszędzie prawie instytucyom swobodnym.

Zaburzenia ludowe w Anglii z Londynu rozszerzyły się na prowincyę, zwłaszcza w Leicester rozruchy przybrały szerokie rozmiary. Dziś nie ulega wątpliwości, że na czele ruchu stali członkowie t. z. ligi demokratyczno-socyalnej Hyndham, Burns i inni. Czterej z nich, którzy występowali jako mówcy na meetingu otrzymali wezwanie do sądu, przedtem jednak posłali rządowi zawiadomienie, że w przyszłą niedzielę urządzą nowy, wielki meeting. W całej tej sprawie rząd angielski postępuje nadzwyczaj taktownie i rozważnie, łagodząc namiętności tłumu, które łatwo rozjątrzyć można było niewłaściwą surowością. Polityka tego rodzaju pozwala spodziewać się prędkiego uśmierzenia rozruchów, niepodobna się ona jednak *Kuryerowi warszawskiemu*, który pragnąłby surowego skarcenia „rozpasanego motłochu.“ Jaka to szkoda, że p. Gladstone naszego *Times'a* nie czyta.

Gazety zajęte sprawami bałkańskiemi nie zwróciły uwagi na zamach stanu, jakiego dokonał rząd duński, który postanowił złamać opór przedstawicieli narodu. Król wydał dekret, upoważniający rząd do rozporządzania sumami, potrzebnemi na pokrycie wydatków bieżących. Wice-prezes folketingu skazany został na 6 miesięczne więzienie itd. słowem pogwałcono konstytucyę niejednokrotnie. Obecnie folketing protestuje przeciw samowolnemu postępkowi króla, główny sąd uwalnia wice-prezesa od odpowiedzialności za obrazę majestatu. Obie strony wyraźnie określiły swe stanowisko i starcie między rządem a przedstawicielami narodu przybiera coraz ostrzejszy charakter.

SPRAWY EKONOMICZNE.

Z GALICYI.

Lwów, 5 lutego 1886.

Znowu bankructwo. — Bank szmaciany. — Założyciel o historycznem nazwisku. — Losy galicyjskiego zakładu finansowego. — Smutny epilog.

Znowu bankructwo! Zaczyna iść niezgorzej: najpierw w styczniu 1884 runął głośnej pamięci „bank włościański,“ bez mała w rok potem nastąpił upadek „galicyjskiej kasy zaliczkowej,“ teraz wreszcie styczeń przyniósł nam bankructwo „galicyjskiego zakładu zastawniczego i kredytowego.“ Ten ostatni w codziennem życiu nosił miano mniej szumnie brzmiące, niż urzędowy tytuł, zwano go bowiem *bankiem szmacianym*, dlatego, że najuboższa ludność brała w nim pożyczki na zastaw części ubrania, naczyń gospodarskich itp. i ta

---

POWIEŚĆ.

SZKICE WIEJSKIE.

IX. Kopciuszek.

Marcysia jest piątą i nieostatnią pociechą Tyleńskich. Między dość licznem gronem braci i sióstr odróżnia się mianowicie rozczochrana, czarna głowa od jasnych, również rozczochranych czupryn reszty rodzeństwa. Ta reszta ma także jasne włosy, jasne oczy i cerę białą, przynajmniej w zimie. Marcysia jest zawsze śniada.

— W kogo się ta cyganka wdała?... — wyrzeka nieraz Tyleńska.

To samo myśli i stary, ale tylko wtedy, kiedy słyszy pytanie żony. Zresztą jest mu wszystko jedno, jakie oczy, włosy ma Marcysia. Za koleją chodzi — jak inne, podwieczorki nosi — jak inne. Rzeczywiście: pasie świnie — jak i inne, a nawet robi to weselej. Wywija kozły na zeschłej ziemi raz po raz i śmieje się. Dziewuchy podziwiają Marcysię, ale jej nie lubią.

— Cyganka — mówią — jak kozła przewinie, nawet się w łeb nie podrapie.

Chłopaki także nie lubią Marcysi; nazywają ją: beczuła. Dziewucha nieraz rozmyśla, coby to mogło znaczyć; robi w tym względzie przypuszczenia. Myśli, że pewno z powodu dużego brzucha tak ją przezywają, aleć z niego wyrośnie! Tymczasem jednak nie wyrasta, a rozpycha go razowcem, pieczonemi kartoflami, najwięcej grochem. Czasem sama się dziwi.

W domu popychają Marcysię, wysługują się nią starsze i młodsze siostry.

Jada sama przy kotlinie. Z początku przysuwała się do wspólnej miski, ale dostawała od braci łyżką po głowie.

— Cyganka do kotliny! — wołali.

I siła spokojnie na swoje miejsce.

Matka i ojciec milczeli; nie ujął się nikt za Marcysią — kocmołuch taki!

Dziewczynie na myśl nie przychodziło, żeby mogło być inaczej; tępa głowa, zwyczajnie! Patrzy tylko zazdrośnie, jak rodzeństwo łowi skwarki, ogromne skwary! W jej miseczce czasem pływa jeden, dwa; czasem nic, oczy tylko; ona łowi i te oczy.

I ubranie ma liche. Wszystkie stare sukienki sióstr dodziera. Ale ją i to nie martwi. Za długą spódnicę podgina z prawego boku, żeby było lżej podskakiwać, a resztę, jeżeli jest błoto, szarga. Kaftany bywają także za obszerne. Zakłada też jedną stronę przodów na drugą i przytrzymuje lewą pięścią.

— Co trzymasz w garści?... — śmieją się z niej chłopaki i biją po ręku.

Marcysia każdemu odda — jeśli nie pięścią, to kamieniem.

— Ta beczułka na każdego się cipnie! — mówią o niej.

Raz zmówili się we trzech i Marcysię obili. Poskarżyła się matce, ale pewno pożałowała; dostała jeszcze i od matki.

— Nie zaczynaj z nimi, niewstydnico!

To też nie skarży się więcej. Sama szuka zadośćuczynienia. Ściska pięści i bije kogo się da.

W święta, niedziele, kiedy „narody“ wylegają na łąkę, na gościniec, Marcysia w podskokach leci, leci za nimi z tyłu, w zabawach jednak udziału nie bierze. Zaraz bowiem dostaje w kark od którego z chłopaków.

— Cyganka won!... — wrzeszczy gromadka.

I cyganka staje za drzewem, lub siada zdaleka. Nie płacze nigdy, tak lubi patrzeć, jak grają w „fatra,“ śmieje się w głos razem z innemi. Czasem siedzi zdaleka z podwiniętemi nogami, bierze je w ręce i tak się buja. Czasem śpiewa. Nie probuje już bawić się z innymi; wie, że ją zawsze obiją.

Miała już dziewięć lat, kiedy pierwszy raz poszła do kościoła. Siostry w święto

właśnie gałąź czynności banku najsilniej wpadała w oczy. Dzieje zbankrutowanego zakładu to jedna znowu z tych smutnych kart, ilustrujących upadek społeczeństwa naszego a przedewszystkiem naszych „uprzywilejowanych.“ Założycielem instytucyi nie był żaden cudzoziemiec, łowiący złoto w mętnej wodzie, nie był nim ani niemiec, ani żyd, na których najchętniej zwykle staramy się zwalić całą winę, ale swój z krwi i kości, noszący nawet nazwisko historyczne — Imci pan Kazimierz Gamrat. Był on pono dawniej dyrektorem cukrowarni hr. Potockiego na Ukrainie, później brał udział w innych tego rodzaju przedsiębiorstwach, aż wreszcie po rozlicznych niepowodzeniach rozbił swój namiot we Lwowie. Złączywszy się z niejakim Tadeuszem Okszą Orzechowskim, człowiekiem widocznie nie lada przedsiębiorczym, bo obecnie, wedle doniesień dziennikarskich, zakłada telegraf podmorski... w Portugalii, potrafił chwycić „na kawał“ przedewszystkiem bardzo zacnego obywatela p. Józefa Kruszewskiego, rozporządzającego niewielkim kapitalikiem a następnie kilku lwowian, którzy z nim razem przystąpili do założenia banku. Złożono udziały w wysokości przeszło 300.000 złr., podpisano akt założenia zakładu i spółki, uzyskano zezwolenie władz i w czerwcu roku 1877 przybył Galicyi nowy bank. Oczywiście, że pp. Gamrat i Orzechowski byli dyrektorami — potrzeby rady nadzorczej lub komisyi kontrolującej na razie nie uznawano.

Jasnem jest, jakie losy mogły oczekiwać tak znakomitą instytucyę. Byłaby ona runęła bardzo szybko, rozporządzając tak olbrzymim kapitałem zakładowym (30 tysięcy złr!!), gdyby nie kredyt osobisty Kruszewskiego z jednej a pomysłowość założyciela z drugiej strony. Dzięki tej pomysłowości uzyskano już z początkiem roku 1878 od władz zezwolenie na otwarcie nowego oddziału: wkładek na książeczki oszczędności. Ciągłe reklamy, wysokie odsetki (dawano z początku 8%— rzecz, jak wiadomo, w uczciwych kasach oszczędności nie bywała) zwabiły nieopatrznych. Już w pierwszym roku po dziewięciomiesięcznem istnieniu nowego oddziału wkłady te wynosiły poważną sumę 158 tysięcy złr! W tym samym przeciągu czasu pobrał zakład z tytułu odsetek za pożyczki udzielone na zastawy sumę 26 tysięcy złr. w dwa lata później 32 tysiące a w roku 1882 (jedynym, z którego pozostał bilans podany do publicznej wiadomości) już 44 tysiące złr. Jeżeliby tę ostatnią sumę przyjąć za podstawę do obliczenia odsetek pobranych w następnych 3 latach aż do upadku banku, to ogólna suma procentów ściągniętych przez zakład jedynie w tym jednym dziale wyniesie pokaźną sumę 300 tysięcy.

Nie chcę szczegółowo opowiadać dalszych losów banku od roku 1878. Udzielano pożyczek lombardowych na lichwiarski procent (24% od stal), chwytano nieopatrznych na lep, obiecując im wysokie odsetki od wkładek na książeczki oszczędności, a od czasu do czasu urządzano interesy, trącące pospolitym „szwindlem.“ Wprawdzie oporządzony na dobre Kruszewski opamiętał się, a spostrzegłszy, z kim ma do czynienia i jakie skutki może ta sprawa za sobą sprowadzić, wciągnął kilka znanych osobistości z tutejszego świata finansowego do akcyi, ktora miała spowodować lepsze i uczciwsze kierowanie zakładem, ale wszystko na nic się nie zdało. Zmieniono statut, wprowadzono radę nadzorczą i komisyę kontrolującą — dyrektorowie robili po dawnemu i zmusili tylko uczciwych do umycia sobie rąk i ustąpienia. Wreszcie i sam Kruszewski wyszedł w r. 1873 z dyrekcyi. Dni banku były policzone. Ostatni raz zamknął bilans za rok 1882, odtąd usuwał się stale od kontroli publicznej tak, że go z tego powodu w roku 1885 ze związku stowarzyszeń finansowych galicyjskich musiano wykluczyć.

Wreszcie „przyszła kreska na Matyska.“ P. Gamrat wyjechał za urlopem kilkumiesięcznym (Orzechowski już dawno pojechał szukać gdzieindziej szczęścia), przestano wypłacać wkładki, głuche wieści zaczęły krążyć po mieście o bankructwie, aż pewnego pięknego poranku sąd musiał wdać się w tę sprawę. Obecnie równocześnie toczy się śledztwo karne a w sądzie cywilnym ogłoszono upadłość bankruta. Najsmutniejszy los czeka biedaków, którzy umieszczali swe pieniądze w owym banku. Pokrycie jest bardzo małe, gdyż najznaczniejsze zastawy relombardował bank w innych zakładach a pozostały tylko co gorsze. Jakie zaś warstwy ucierpiały na bankructwie szmacianego banku, wymownym niech będzie dowodem to, że zgłoszono w sądzie pretensye (z książeczek oszczędności) w wysokości 5 złr., 10 złr. itp. a tylko niewiele znaczniejszych, z tych jedna na kilkadziesiąt tysięcy złr. Wedle wykazu samego banku wkładki na książeczki oszczędności wynosiły z końcem 1885 roku sumę 99,873 złr. Ilu więc ucierpi?!

Kończę już to smutne opowiadanie. W przeciągu 2 lat 3 znaczniejsze zakłady finansowe w upadku a czwarty (*Obszczoje rolnyczo-kredytowoje zawedenije dla Hałycyi i Bukowyny*) ratowany jedynie zagranicznymi funduszami od nieochybnej zguby— prawda, to objaw niewątpliwy zdrowia społecznego i czujności władz, pod których okiem to wszystko się dzieje!

Leszek.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY KRAKOWSKIE.

Kraków, 7 lutego.

Komitet Mickiewiczowski sproszono na 15-go bież. m. dla przyjęcia lub odrzucenia projektu Matejki, wykonanego w gipsie, w olbrzymich rozmiarach przez pp. Rygiera i Gadomskiego. Będą, a raczej są już więc dwa projekty jednakie, bo mistrz artystom na odmiany nie pozwolił. Trzeba będzie w każdym razie pracę trzech ludzi zapłacić, choćby ona tylko miała do eksperymentu posłużyć (słychać o 12.000 fl.). Jak wiadomo, podkomitet, wybrany na ostatniem posiedzeniu zeszłego roku w dniu 16 kwietnia do przeprowadzenia w rzeźbie Matejkowskiego pomysłu, złożony został umyślnie z samych życzliwych Matejce osób, a znawców unikano wyraźnie. Był nim istotnie tylko jeden prof. Maryan Sokołowski, ale ten ustąpił, widząc, że nie poradzi, a zrobił to publicznie przez dzienniki. Panowie podkomitetowi gospodarowali bez przeszkody dawali zadatki, choć prawa do tego nikt im nie udzielił. Wszystko więc składa się tak, że z natury rzeczy muszą upierać się przy swych zamysłach. Wszystko już przygotowane... tajemnica grubą zasłoną otoczyła działanie podkomitetu, projektów przed 10 b. m. nikt widzieć nie może, choć są już pomieszczone w sali Sukiennic. Potrzeba tego, bo zacho-

---

ustrojone szły, a ona płakała i całowała matkę w ręce.

— Mamuleczko i ja pójdę!...

Ale nigdy nie miała trzewików i zostawała. Byłaby i w dziewiątym roku nie poszła, bo Tyleńskiej żal było trzewiki kupować dla takiego oberwańca, ale ksiądz jeździł po kolendzie i zgorszony usłyszał, że Marcysia jeszcze nie była u spowiedzi. Przykazał matce surowo i zagroził nawet. Marcysia ze łzami wdzięczności całowała rękę księdza. Ona zawsze tak pragnęła iść do kościoła, mieć trzewiki nowe, może i chusteczkę na szyję! Przecież wszystkie dziewuchy mają; nawet Joasi macocha na ostatnim jarmarku kupiła, a Jóżwa, co jest do dziecka u Lejków, choć przecież nie „ojcowitka,“ a ma i jeszcze jaką — aż się w oczach mieni: zielona, kwiaciasta!

Matka nieraz tłomaczy się sąsiadkom, dlaczego „tygo naroda ścirpić nie może.“ Opowiada o niej okropności. Czarna kradła „na ten przykład“ matce jaja i smażyła sobie jajecznicę. Jeszcze w dodatku sekretu z tego nie robiła, chwaliła się przed innemi.

— Gęsi wypędzę do świtu — mówiła — i o suchym kawałku chleba miałabym być do obiadu?...

— Dałam jej też jajecznicę — opowiada matka — dałam!

Podobno już jaja przestały ginąć, a jeżeli Marcysia ocierała gębę rękawem po jajecznicy, to smarzyła ją ze znaleźnych jaj.

Albo i sprawa z Saturninką; o tem przecież cała wieś dobrze wie. Saturninka kłóciła się, co prawda, więcej ze starą, niż z Marcysią, ale bo to siedziały ze sobą przez sień, a Saturninka, jako szlachcianka, nigdy dobrego słowa nie dała Tyleńskiej. Jeśli w jednej izbie rozległo się: „parszywy chamie,“ to z drugiej echo przyniosło: „zaszargana ślachcionko!“

Co jednak miały stare między sobą, to miały, a dziecem zasię. Aż tu kiedyś Marcysia wypasła kawałek owsa Saturninom; zaklinała się, że na miedzy, ale Saturninka klęła i siebie i Marcysię, że to był cały zagon. Cóż dziwnego, że zaraz na miejscu chciała dziewuchę ukarać; z tem większą ochotą brała się zaś do tego, że była to dziewucha Tyleńskiej. Ale ktoby tam dał radę cygance w polu! Uderzyła Saturninkę kamieniem i sama w nogi. Świadków przy całem tem wydarzeniu nie było, ale Saturninee uwierzą na słowo. Zaskarżyła dziewczynę do sądu. W oznaczonym dniu Tyleńskiej akurat wypadł interes do miasta; Marcysię musiał sołtys łapać na pastwisku.

— Byłabym uciekła —zaręczała potem — ale przewaliłam się w opłotkach i ujęni mię.

Na jednym wozie z Saturninką przyszło do pozornej zgody. Szlachcianka głaskała dziewczynę, zaręczała jej, że pójdzie prosto do piekła, jeżeli prawdy w sądzie nie powie. W karczmie kupiła jej bułkę i śledzia. Marcysia zajadała i obiecywała wszystko. Wobec wójta i ławników zawzięła się tak, że ani ust otworzyć.

To już taka natura u niej. Któremuś z ławników przypadł szczęśliwy pomysł zaprowadzić dziewuchę do księdza; tam wszystko wyśpiewa.

Zastali proboszcza przy miodzie w ogródku. Po wysłuchaniu całego zajścia, ksiądz zaczął badanie.

— Umiesz przeżegnać się? pacierz mówisz? bliźniego swego kochasz?

— Ja nie wiem, co to bliźni.

Ksiądz dał dziewczynie kawał miodu.

Aż tu dziewczyna w płacz.

— Nie pójdę prosto do piekła! —woła. Palnęłam kamieniem Saturninkę, alem jej owsa nie wypasła.

W gminie dużo było śmiechu z całej tej sprawy; wójt nie kazał nawet pomieszczać jej w aktach. Saturninka nie wygrała nic, a złość do Tyleńskich spotęgowała się. Wszystkiemu winna cyganka. Cóż dziwnego, że brała w skórę od matki!

— To już od maleńka taka sielmoska natura —skarży się stara;— jeszcze w opo-

dzi obawa słuszna, by przed posiedzeniem nie odezwały się w dziennikach głosy potępiające całą robotę. Z drugiej zaś strony, rozpoczęło się już wmawianie w ludzi, że nic pyszniejszego, jak ten obnażony poeta itp. Jedna tylko okoliczność obiecuje pokrzyżowanie zamiarów komitetu: pomnik obliczony jest na 180,000 złr. Dużo więc jeszcze grosza potrzeba, skoro się ma około 100,000, a nadto wisi dług zapłaty obu wykonawców myśli Matejkowskiej. Nie przyda się wobec tego na nic tak popłatna nieraz zuchwałość. Pogarda dla ulicy, dla piśmideł, bo panowie sami nie sięgną do kalety tak łatwo, jak do głowy po natchnienie. Ciężar sprawy spocznie na prasie, która jedna dość ma wpływu, by powołać ogół do uzupełnienia funduszu, a żaden dziennik uczciwy z pewnością nie będzie miał sumienia do takiego wyzysku w imię rzekomo dobrej, a w istocie prywatnej sprawy. Oto jest krótki zarys przyszłego toku nowej "kadencyi Mickiewiczowskiej." Zwykły rozsądek ludzki dwie tylko widzieć może alternatywy: albo pomnik Matejki przepadnie, albo przejdzie — szanse opisałem powyżej — ale nasi wielcy mają swoją odrębną logikę i odrębne sumienia, a drogi ich dziwe są i niezbadane*). Tam — w obłoki galilejskiego Olimpu autonomicznych bogów oko zwyczajne nie sięgnie — któż wie, co tam gotują?...

Dwuletnie milczenie, jakie po upadku *Przyszłości* i wrogiego jej *Przeglądu akademickiego* zapanowało na polu peryodycznych wydawnictw krakowskiej młodzieży, zostało przerwane. Dnia 5 b. m. pojawiła się dwuarkuszowa broszurka w czerwonej okładce. Jest to pierwszy numer pisma p. t. *Ziarno*, „dwutygodnika naukowego i literackiego, wydawanego przez młodzież akademicką." Podjęła go garstka młodszych akademików, ożywiona poczciwą i szlachetną otuchą, iż zdoła rozbudzić do ruchliwszego życia umysłowego uniwersyteckie koła, że odświeży atmosferę gnuśną i sztucznie ścieśnioną. *Ziarno* jest jednak smutnym dowodem, jak daleko zaszedł ruch wsteczny i rozkład kierunków, które niedawno jeszcze ostro i stanowczo rysowały się wśród mozajki stronnictw krakowskich. Redakcya nie była w stanie podnieść haseł konkretniejszych, więcej mówiących, niż komunalny „cel rozbudzenia wśród młodzieży zainteresowania się ruchem umysłowym współczesnym i wzniecenia w niej zapału do pracy ciągłej, poważnej i spokojnej." Ale winić o to redakcyi nie podobna, bo sama haseł nie stworzy, a obecne życie zbiorowe młodzieży nie jest w stanie dostarczyć jej jaśniejszego programu, ani wskazać dróg wyraźnych. To też *Ziarnu* musi brakować twardego gruntu pod nogami, muszą w niem być zasadnicze sprzeczności pomiędzy poszczególnymi utworami, całość musi robić wrażenie pracy na oślep podjętej. Czuć przecież pewne ciepło serdeczne, które potrzebuje uświadomienia, by mogło stać się pożytecznem. Zmiany i powodzenia w tym kierunku, a obok tego stanowczości życzyć należy młodemu pismu, jeśli pragnie istotnie działać na ogół; kto chce budzić ze snu gromadę, ten powinien głośno wołać; kto chce prowadzić, ten sam musi znać drogę dobrze i wiedzieć o jej kresach.

Na zakończenie przytaczam dosłownie ustęp z *Czasu*: „Bankiet, wydany przez dawny Resurs krakowski na cześć Rogozińskiego, wypadł nadspodziewanie świetnie. Pierwszy toast wzniósł według zwyczaju prezes klubu hr. Feliks Mycielski, następnie zabrał głos hr. Oleszkowski i w dłuższem przemówieniu wykazując ważność zadania i ekonomiczne korzyści, jakie się w środkowej Afryce dla ludów cywilizowanych otwierają, zakończył życzeniem, ażeby się mogło zawiązać w Krakowie Towarzystwo geograficzne polskie, któreby — na wzór towarzystw zagranicznych — popierało w tym celu podjęte usiłowania. Po wzruszającej odpowiedzi p. Rogozińskiego, uniesieni słuchacze postanowili przystąpić do rzeczy; myśl poparta przez pp. Straszewskiego i Szajnochę znalazła powszechny poklask i wnet posypały się składki: hr. Antoni Wodzicki imieniem komitetu klubu oświadczył, że tenże składa pierwszy na założenie Towarzystwa geograficznego 500 zlr. Poczem lista składek pojedynczych członków, otwarta z inicyatywy p. Czesława Kieszkowskiego, przyniosła w przeciągu pół godziny sumę 1410 zlr. Dalsze przeprowadzenie całej sprawy poruczono pp.: Rogozińskiemu, Szajnosze i Cieszkowskiemu, a jako najodpowiedniejszego prezesa wymieniano powszechnie hr. Karola Lanckorońskiego."

To jest prawda!...

W. P.

*) Komitet zebrał się i rozszedł kwaśny, odroczywszy swój wyrok na 3 miesiące. *Red.*

BADANIA NAUKOWE.

O KAPITALE.

III.

Rozpatrzywszy w części pierwszej i drugiej tomu drugiego rozmaite formy, jakie przybiera kapitał jednostkowy w peryodycznym swoim obiegu, Marx w części trzeciej przechodzi do cyrkulacyi ogólnego kapitału społecznego. Każdy kapitał jednostkowy bowiem tworzy usamoistniony (verselbststaendigt), rzec można, obdarzony życiem osobnem odłam ogólnego, społecznego, podobnie jak każdy kapitalista jest jedną z części składowych całej klasy kapitalistów. Ruch kapitału społecznego składa się z ogółu ruchów odłamów jego usamoistnionych, z obrotu kapitałów jednostkowych. Jak przeobrażenie (metamorfoza) towaru pojedynczego stanowi ogniwo w ogólnym łańcuchu przeobrażeń świata towarowego, cyrkulacyi towarów, tak samo przeobrażenie kapitału jednostkowego, jego obrót, jest ogniwem w obiegu kapitału społecznego. Proces ten ogólny obejmuje zarówno spożycie wytwórcze (wytwórczość bezpośrednią) wraz z przeistoczeniami form, przy pomocy których się odbywa, jak i spożycie jednostkowe i jego przeobrażenia czyli wymianę. Spożycie zawiera z jednej strony przemianę kapitału zmiennego (variables Kapital) na siłę roboczą, a zatem wcielenie pracy w wytwórczość kapitalistyczną. Robotnik występuje tu w charakterze sprzedawcy swojego towaru, pracy, a kapitalista, jako jej nabywca. Z drugiej zaś strony w sprzedaży towarów mieści się ich nabywanie przez klasę robotniczą, czyli jednostkowe spożycie tej ostatniej. Tu tedy klasa ta działa w charakterze nabywcy, a kapitaliści są sprzedawcami towarów na potrzeby robotników. W cyrkulacyi kapitału towarowego zamyka się cyrkulacya nadwartości, a więc kupna i sprzedaże, za pośrednictwem których kapitaliści uskuteczniają jednostkowe swe spożycie, czyli spożycie nadwartości.

Dogmat Adama Smitha, że cena czyli wartość zamienna (exchangeable value) każdego towaru, a więc i wszystkich, z jakich powstaje roczny produkt społeczeń-

---

winięciu to się tak darła dzień i noc, że nieraz mówiłam: bodajeś lepiej przepadło! Ale nie bój się, złego najdłużej.

Marcysia słucha wyrzekania matki, lecz długo się nad tem nie zastanawia; matka zwyczajnie „zwłaśniła" się na nią i gada byle gadać. Nie skarży się też nigdy, choć później za jej zarobne pieniądze dostają siostry sukienki i szuby. Nie wymawia, że młodsze od niej mają swoje łóżka, ona dzieli jedno z trojgiem najmłodszych.

Wygląda tak, jakby mimo chłodu, głodu, niewygody była ze wszystkiego rada. To zadowolenie z losu trwało mniej więcej do ośmnastu lat. Wtedy w dziewczynie zaszła dziwna zmiana. Sposępniała, zwolniała, straciła dawną fantazyę i śmiałość. Widać zaczęły się budzić wątpliwości co do jej szczęścia i jakoby żal do rodziców za niezrozumiałą dla niej niesprawiedliwość. Pracowała myślą, żeby dociec, dlaczego ją bito, dlaczego obdarta.

Już i ojciec przyzwyczaił się zwalać wszystko na Marcysię.

— Panny starsze pójdą na wesele, ty Marcyna w domu.

— Panny młodsze niech się szykują na odpust, Marcyśka dopilnuje chałupy.

— Odpoczujita córuchny — mówi matka do wracających z roboty — Marcyna wydój krowy i drzewa nanoś.

— Za co, dlaczego? — powtarza sobie dziewczyna i popłakuje.

Pyta głośno. Kiedyś zażądała zwrotu zarobnych pieniędzy.

— Nie mam co na schaby włożyć, a mamulka siostrom za moje sprawia.

Oj, było też piekło przez cały wieczór u Tyleńskich! Saturninka aż się za boki brała; latała po wsi i rozpowiadała sąsiadkom:

— Biją Marcynę, biją.

Odtąd nie upomina się już o nic Marcysia. W niedzielę można ją widzieć w ogródku, albo „pod ścianą," jak samotnie siedzi, wpatrzona w jeden punkt. Myśli i myśli. To się gniewa, to się rozżali, znać to po twarzy. Po takich rozmyślaniach powtarza sobie:

— Pójdę w służbę, dłużej nie ścierpię!

Ale gdzie tam Marcysi myśleć o służbie! Tyleński słuchać nie chce.

— To ja cię szelmo tyle lat darmo żywiłem, żebyś mi teraz w służbę szła?!

Siedzi więc w domu, ale zawsze sobie myśli:

— Niedługo tego!

A we dworze Marcyna pani aż się śni.

— Mój Jakubosiu — mówi do ekonoma — żebym ja tę Tyleszczankę mogła dostać.

„Jakuboś" zachwala dwór, probuje.

Marcysi zachwalać nie potrzeba; wszyscy wiedzą, że pracowita.

— Żaden latawiec — przyświadcza ekonom.

A stara od czasu do czasu powtarza Marcynie:

— Dam ja tobie służbę, już cię skóra świerzbi.

Nic dziwnego, Marcysia teraz potrzebniejsza w chałupie; starsze dziewuchy powychodziły za mąż. Zośka zaślubiła wdowca. Oj jakąż Marcyna miała ochotę na tego wdowca!

Mówiła sobie:

— Choć raz wydostać się z domu! Dopieroźbym dobra była i dla niego i dla dzieci!

Ale wdowiec wolał Zośkę. Chwalili mu we wsi Marcysię, że choć brzydka, ale pracowita. On możeby się i zgodził, żeby tylko stary choć krowę dał, ale stary i Zośce nic nie daje.

— Czy ona ma kogo za co, ani ojca, ani matki.

Wdowiec więc wziął Zośkę, Marcysia została.

Podorastały teraz młodsze siostry. W położeniu Marcysi nic się nie zmieniło.

Panny młodsze chodzą teraz na granie, wesela; starsza zostaje w domu. Robiła dawniej za starsze, dziś robi za młodsze.

— Jak powychodzą z domu — myśli sobie — może choć łóżko sobie sprawię.

stwa, składa się z trzech części (component parts), czyli rozpada się (resolves itself into) na: płacę robotniczą, zysk i rentę — zdaniem Marxa — sprowadzić można do tego, że wartość towaru równa się wartości wyłożonego kapitału zamiennego z dodatkiem nadwartości. Zapatrywanie to mieni on jednostronnem, podobnie jak i drugie, wypowiedziane przez Smitha, jakoby płaca, zysk i renta gruntowa miały stanowić trzy pierwotne źródła wszelkiego dochodu i wszelkiej wartości zamiennej. Pogląd ten swój szczegółowo i gruntownie uzasadnia, wykazując zarazem, że i późniejsi ekonomiści, jak: Ricardo, Say, Proudhon, Storch, Sismondi, Berton, Cherbuliez, a nawet John Stuart Mill, nie mogli ustrzedz się od popadnięcia w tę samą jednostronność.

Produkt ogólny, a więc i produkcya ogólna, dzieli się, podług Marxa, na dwie wielkie grupy: 1) na środki produkcyi, to jest towary posiadające postać, za pomocą której w spożycie wytwórcze wcielić się muszą lub mogą — i 2) na środki konsumcyi takiej postaci, przez którą wchodzą w spożycie jednostkowe klasy kapitalistów i robotników. W każdej z tych grup wszystkie należące do niej a różnorodne gałęzie wytwórczości *razem* wzięte tworzą wspólną wielką, jedne — środków produkcyi, drugie — środków konsumcyi. Kapitał cały użyty w obu z nich stanowi osobny wielki dział kapitału społecznego.

W każdej z grup kapitał rozpada się na dwie części składowe, na: 1) kapitał zmienny, który ze względu na wartość, równa się wartości pracy społecznej zastosowanej do danej gałęzi wytwórczości, a więc sumie wyłożonych na tę pracę płac najemniczych. Ze względu na istotę swoją, kapitał ten składa się z przechodzącej w czyn pracy samej, to jest z poruszonej przez tę wartość kapitalną żywej pracy — i 2) na kapitał stały, to jest na wartość wszystkich środków wytwórczych do produkcyi w danej gałęzi użytych. Te znów ze swojej strony dzielą się na kapitał *unieruchomiony*: maszyny, narzędzia, budowle, bydło robocze itp., oraz na kapitał stały *obiegowy*: materyały wytwórcze, jak produkty surowe i pomocnicze, pół-fabrykaty itp.

Dla zrealizowania wartości kapitaliści zmuszeni są puścić w obieg swoje pieniądze. Dzieje się to w praktyce, zdaniem Marxa, dwojako. Jeżeli przemysł jaki świeżo został rozpoczęty, trwa dosyć długo, w najlepszym razie kilka miesięcy, zanim kapitalista z samych dochodów jest w stanie wydawać na osobiste spożycie swoje. Spożycie to wszakże nie zostaje przez to zawieszonem ani na jedną chwilę. Kapitalista w takich razach forszusuje sam sobie pieniądze (obojętnem tu jest, czy z własnej kieszeni, czy drogą kredytu z cudzej) na mającą się dopiero zagarnąć nadwartość. Jeżeli przemysł natomiast od dłuższego już czasu jest w prawidłowym biegu, wtedy wypłaty i dochody rozdzielają się na rozmaite okresy w ciągu roku. Jedno przecież nieprzerwanie trwa dalej, mianowicie spożycie ze strony kapitalisty, które z góry zawsze zostaje wybranem i którego wielkość oblicza się w pewnym stosunku do dochodów zwykłych lub przewidywanych. Wraz z każdą partyą towarów sprzedanych realizuje się część mająca być osiągniętej w ciągu roku nadwartości. Gdyby zaś przez cały rok sprzedano tylko z wyprodukowanych towarów tyle, ile potrzeba na pokrycie mieszczących się w nich wartości (stałych i zmiennych), albo, gdyby ceny spadły tak nisko, że ze sprzedaży całorocznego produktu towarowego osiągniętoby jedynie zawarty w nim kapitał zaforszusowany — wtedy charakter zaliczkowy pieniędzy wydanych w widokach przyszłej nadwartości byłby zupełnie jasny. Jeżeli kapitalista zbankrutuje, wierzyciele jego i sąd roztrząsają, czy z góry wzięte wydatki jego prywatne w należytym zostają stosunku do zakresu jego przedsiębiorstwa i do odpowiadających mu zazwyczaj lub normalnie dochodów z nadwartości.

Twierdzenie co do sposobu realizowania nadwartości, jak dodaje Marx, nietylko nie jest paradoksem, lecz występuje jako warunek niezbędny całego mechanizmu. Są tu bowiem tylko dwie klasy: robotnicy, którzy rozporządzają swoją siłą do pracy, i kapitaliści, którzy posiadają monopol środków wytwórczości społecznej jako i pieniądze. Paradoks byłby wtedy, gdyby klasa robotnicza z własnych funduszów forszusowała pieniądze konieczne dla zrealizowania tkwiącej w towarach nadwartości. Forszusu tego dokonywa pojedynczy kapitalista, zawsze jednak w tej postaci tylko, że działa jako nabywca, wydaje pieniądze na zakup środków spożywczych, lub forszusuje na zakup pierwiastków swojego kapitału wytwórczego, już to sił do pracy, już też środków wytwórczych. Nie wydaje on nigdy pieniędzy bez równoważnika. Zalicza jedynie pieniądze dla cyrkucyi w ten sam sposób, w jaki jej zalicza towary. W obu razach stanowi punkt wyjścia dla cyrkulacyi.

Zjawisko gromadzenia wartości dla rozpoczęcia nowej wytwórczości stanowi przedmiot ostatniego rozdziału tomu drugiego. „Przez spieniężenie kapitału towarowego — powiada Marx — jednocześnie spienięża się i nadprodukt, pod którego postacią przejawia się nadwartość. Nadwartość tę, w ten sposób na pieniądz zamienioną, kapitalista przeistacza znowu na dodatkowe (zuschüssige) pierwiastki naturalne swojego kapitału produkcyjnego. W najbliższym zaś okresie wytwórczym powiększony kapitał—powiększony daje produkt.“ Potrzeba tu tylko dwu warunków, a mianowicie: 1) aby ogólna suma zaoszczędzonej nadwartości w danym położeniu wystarczającą była bądź do rozszerzenia funkcyonującego kapitału stałego, bądź do założenia nowego przedsiębiorstwa przemysłowego; 2) aby poprzednio już wytwórczość odbywała się na większą skalę, gdyż do możności zamiany pieniędzy (nadwartości pod postacią tych ostatnich nagromadzonej) na pierwiastki kapitału produkcyjnego, potrzeba, aby pierwiastki te, jako towary, można było kupować na rynku. W tym względzie wszakże różnicy nie stanowi to, że nie są kupowane wprost jako gotowe towary, lecz wykończane na obstalunek. Zapłacone bowiem zostają wtedy dopiero, kiedy już są, a w każdym razie, kiedy już z uwagi na nie rzeczywista odbyła się reprodukcya na większą skalę, rozszerzenie wytwórczości normalnej. Musiały więc istnieć potencyonalnie, tj. mieć byt w częściach swych składowych, skoro tylko potrzeba było pobudki obstalunku, tj. zakupna towarów poprzedzającego ich istnienie i uprzedniej ich sprzedaży, aby wytworzenie ich faktycznie nastąpiło. Pieniądze z jednej wywołują wtedy rozszerzoną reprodukcyę z drugiej strony, ponieważ możność takiej reprodukcyi istnieje *bez* pieniędzy, dlatego, że pieniądz sam przez się nie jest czynnikiem reprodukcyi rzeczywistej. „Nadprodukt, wyobraziciel nadwartości — wyjaśnia dalej Marx — przywłaszczycieli jego, kapitalistów, nie kosztuje nic. Aby go otrzymać, nie potrzebują pod jakąbądź formą forszusować ani pieniędzy, ani towarów. Wykładają tylko kapitał swój stały i zmienny. Robotnik pracą swoją nietylko zachowuje im kapitał stały, nietylko

---

Gdzie tam, trzeba było przecież wesele każdej wyprawić, a pościel dać. Poszły pieniądze Marcysi!

Dziewczyna za swoją biedę czuje do sióstr jakąś nienawiść, żal.

I przyjaciółek nie ma, jak inne; nie bywa na zabawach, przy robocie milczy, w niedzielę nie idzie z innemi śpiewać do lasu; siedzi sama w chałupie, albo w ogródku rozmyśla nad swoją dolą.

— Liche moje życie — mówi — własna matka mną poniewiera, nie wiada za co. I wdowiec mię nie chciał, choćbym go lepiej szanowała niż Zośka.

Ona i dziś tak jego dzieci lubi, nawet i Zośczyne.

Czuje żal co najmniej do połowy świata. Przypomina sobie, że i dziecinne lata nie były takie wesołe; przypomina sobie jak ją dzieciaki biły, wyłączały od zabaw.

— Tyle tylko, żem była silniejszą od nich, tom się nie dawała.

Niektóre wspomnienia wywołują czasem uśmiech na usta Marcysi.

Przypomina sobie naprzykład Wicka i jego serki. Takich serków nikt nie umiał z kartofla wycisnąć. Dzieciaki otaczały go kołem, a każde wołało:

— Wicuś dla mnie, Wicuś braciszku, dla mnie, już ci do wieczora świnie paść będę!

A Wicek z powagą w pole sukmanki zgniata upieczony kartofel. Gromadka składa ręce:

— Panie Boże daj, żeby mu się nie zepsuł!

I nigdy mu się nie zepsuje. Z tryumfem podaje któremu z proszących serek na dłoni, a Marcysia zawsze przyczai się cichutko i bęc! pięścią w łokieć Wicka; serek spada na ziemię skruszony. Potem zaczynają się gonitwy; Marcysia ucieka dobrze, ale siła złego na jednego. Dogonią ją i wygrzmocą. Ale z serkami powtarza się ta sama historya codzień. Nieraz ją proszą:

— Marcyna siedź, to i tobie damy.

Marcysia obiecuje, ale jak zobaczy serek na dłoni Wicka, nie może się wstrzymać i traci.

Przypomina sobie, jak na te serki kradli kartofle Krzykoskiemu, gospodarzowi z sąsiedniej wsi; mieli bliżej dworskie, ale Wicek nie chciał z nich serków wytłaczać, bo najlepsze — według niego — były krzykoskie kartofle. Kopali więc te.

Oj pamięta to dobrze, bo dostała za to „podbieranie“, dostała od samego gospodarza! Szczędł i wymłócił.

— Zawsze mnie bieda była — powtarza raz setny. Gorsza bieda, jak się w domu na człowieka „zwłaśnią.“ Pracuj tylko i pracuj i słowa dobrego nie usłyszysz.

I Marcysia coraz uparciej wracała do tej myśli, żeby raz z domu.

— Choćbym miała uciec, to ucieknę, pójdę w służbę i raz się stanie. Co zapracuję, to będzie moje.

I pewnego poranku w chacie Tyleńskich zawrzało „piekło.“ Nie było Marcysi — uciekła; zabrała swoje „graty“ i poszła do dworu. Starej zniknięcie córki w głowie nie może się pomieścić, Czeka dzień, drugi, a wciąż powtarza:

— Tylko ty wrócisz, przywitam ja cię szelmo!

Ale mija tydzień i drugi, Marcysia jednak nie wraca. Matka płacze ze złości i odgraża się:

— Sołtysem cię sprowadzę!

Sołtys jednak sprowadzanie odradził.

— Nie macie prawa, dziewka już dawno pełnoletnia, może iść w służbę, kiedy chce.

Marcysia więc została we dworze.

— Ciężka praca — mówi — bo ciężka, ale może przynajmniej nie katują, jak matka, nie zwymyślają za byle co, albo zgoła za nic.

Po roku, dwóch na „schabach“ Marcysi zaświeciły stroje. Dziewucha kupowała i kupowała. Kraciaste, kwiaciaste spódnice zmieniały się jedna po drugiej. W kościele siostry patrzyły na to z zawiścią.

— Patrzta, jak Marcynie służba sporuje!

A Marcysia uradowana kupuje, stroi się i myśli:

— Teraz toby mnie wdowiec wziął.

Ale wdowiec ma już dawno Zośkę i kilkoro dzieci.

opłaca im zmienny przez nowo wytworzoną pod pastacią towaru część wartości, lecz nadto skutkiem przewyżki pracy swojej (Mehrarbeit) dostarcza im nadwartości w kształcie nadproduktu. Przez kolejne sprzedawanie tego ostatniego kapitaliści gromadzą sobie zapasy, wytwarzają dodatkowy (potencyonalny) kapitał pieniężny.“

Przebiegliśmy tym sposobem wszystkie ważniejsze punkty, nad którymi w tomie drugim zastanawia się Marx, i nie pozostaje nam nic innego, jak gorąco zachęcić czytelnika do bezpośredniego zapoznania się z dziełem samem. O jednem go tylko uprzedzić musimy. Droga do poznania tego dzieła najeżona jest trudnościami. Styl Marxa bowiem (jak to samo nasze sprawozdanie uwydatnia) wcale do ponętnych nie należy. Jako dobry heglista dąży on wciąż do sprowadzenia ogromnych zasobów materyału swojego do faz rozwojowych jednego, jedynego pojęcia zasadniczego i przez to w rozumowaniach staje się często nieznośnie rozwlekłym i ciężkim. Obok tego ulubionym jego środkiem dowodzenia jest matematyka, tak, że nie ma prawie stronicy, z którejby nie straszyły czytelnika całe szeregi wzorów i równań algebraicznych. Kto jednak pokona wszystkie te przeszkody, czysto zewnętrzne zresztą, ten z prawdziwem zadowoleniem śledzić będzie, z jak wielką logiką i konsekwencyą autor *Kapitału* przeprowadza założenia swoje i z jak nieposolitem przygotowaniem, tak pod względem teoretycznym, jako i praktycznym, przystąpił do dzieła, ten pojmie, dlaczego Marx wśród ekonomistów tak wybitne zajął stanowisko, czyli— jak mówi Engels, zapożyczając przykładu z dziejów chemii: „dlaczego Marx ma się do wszystkich poprzedników swoich w takim stosunku, jak Lavoisier, odkrywca tlenu, do Priestleya i Scheelego, twórców teoryi flogistycznej.“

Ad. J. Cohn.

STATYSTYKA LITERATURY.

Naród zaopatruje się tak samo w dobra duchowe, jak w materyalne. Mamy tu i tam produkcyę oraz konsumcyę. Dobra duchowe przechodzą bezpośrednio z jednej osoby na drugą (zupełnie jak np. usługa), albo ktoś trzeci pośredniczy. Bezpośrednimi stosunkami między umysłową produkcyą a konsumcyą zajmuje się statystyka szkolnictwa, pośrednimi zaś statystyka literatury, obejmująca zjawiska prasy i książek. Wobec tej młodej umiejętności, zadajemy sobie przedewszystkiem pytanie: jaki związek zachodzi między dotychczasową historyą literatury, a nową statystyką literatur? Historya literatury zajmowała się dawniej beletrystyką, później uzupełniono ją naukami. W najszerszem jednak pojęciu jest ona tylko *indywidualnem* przedstawieniem duchowej produkcyi, głównie wybitniejszych osobistości lub szkół, co najwięcej szczegółowych kierunków i prądów. Brak jej objęcia literackiej produkcyi wogóle, brak poznania całego charakteru narodu i wpływu na masy. W tym więc kierunku uzupełnia podmiotową historyę literatury społeczna jej statystyka. Ze względu na to rozszerzenie pojęcia literatury zajmie ona, prawdopodobnie, należne miejsce w podręcznikach do literatury, jak już zajęła w historyi powszechnej. Spotyka ją tylko jeden zasadniczy zarzut. Konserwatywni jej przeciwnicy powiadają, że siły statystyki, działającej suchemi liczbami, nie wystarczają do oznaczenia zjawisk natury duchowej. Widocznie nie rozumieją oni zadania tej nauki. Statystyka literatury nie troszczy się o wartość poszczególnego utworu, o wady albo zalety autora; cele jej ogólniejsze. Oto z ilości utworów literackich wyprowadza ona wnioski o stopniu umysłowego rozwoju społeczeństwa; zześrodkowania produkcyi umysłowej w stolicy, albo z rozgałęzienia jej na prowincyi—o odgraniczeniach klasowych ludności, albo o wniknięciu oświaty w masy; z rodzaju i treści pism ocenia umysłowość narodu, wreszcie z liczby tłomaczeń dzieł obcych wnioskuje o młodzieńczych siłach literatury i jej konieczności oparcia się na silniejszej, lub odwrotnie, z liczby przekładów na obce języki — o wysokości i wpływie danej literatury na inne. Słowem, dowiadujemy się z niej o wzajemnej wymianie tak myśli, jak uczuć narodów i o wspólnem uczestnictwie rodzaju ludzkiego w najwyższych dobrach umysłowych.

Tak więc i w tej dziedzinie, pozornie najbardziej indywidualnej, miejsce dowolności zajmuje niczem niezachwiana *prawidłowość*. Doniosłość statystyki literackiej nie polega tylko na dopełnieniu historyi literatury, cyfry jej rzucają jaśniejsze światło na etnologię i psychologię narodów, mają nawet praktyczne znaczenie w życiu (np. przy zakładaniu i wyposażaniu bibliotek). Mimo to jej uprawa znajduje się na bardzo niskim jeszcze stopniu. Rzecz dziwna, jak mało dbają ludzie o administracyę dóbr duchowych, w porównaniu z materyalnemi! Biura statystyczne ciekawsze są dowiedzieć się, ile spożywamy świń, wołów lub cieląt, niż książek...

Metoda statystyki literackiej nie różni się w niczem od metody statystycznej wogóle; stara się ona przedewszystkiem oznaczyć *ilość* dzieł, arkuszy i formatu, tomów, zeszytów itp. Grupuje potem wytwory podług *treści*, uwzględniając nietylko szematy logiczne czyli filozoficzne, ale stosując się także do podziału ludności na klasy i do powszechnie panujących kierunków. Trudniejszem jest oznaczenie *jakości*. Nie idzie tu naturalnie o ocenę pojedynczego dzieła, ale o oznaczenie rodzaju produkcyi umysłowej wogóle, albo porównawczo. Do tego celu służy także podanie ceny książek. Dotychczas braliśmy pod uwagę tylko produkcyę samą. Rozpatrując wytwórców, rozróżniamy autorów i redaktorów, płci męskiej i żeńskiej, pisarzy samoistnych lub dzieła drukowane zbiorowemi siłami, wydawane przez rząd albo bezimiennie.

Najtrudniejszem jest oznaczenie konsumcyi umysłowej. Pewnych punktów wytycznych dostarcza nakładnictwo. Stosownie do tego, czy nakład skupiony jest w kilku miejscach lub w kilku rękach, czy też rozłożony i rozszerzony na społeczeństwo, dalej stosownie do tego, czy rozdzielony na wydawnictwa specyalne, czy też ma charakter ogólny, przedstawia się konsumcya ograniczoną bądź miejscem, bądź też pewną warstwą ludności, ogólnie albo w pewnym kierunku rozwiniętą. Pojawienie się licznych artykułów komisowych, albo nawet liczniejszych druków kosztem autorów samych, jest oznaką słabego odbytu pewnej gałęzi, a czasem niskiego stanu literatury w ogólności.

Liczne nakłady, wydania lub roczniki zdradzają żywe zajęcie się pewnem polem. Z tłomaczeń na obce języki i z tych na krajowy wnosimy o stanie literatury krajowej i obcej.

Statystyka literacka uwzględnia narody i prowincye, nie państwa; ale wielce po-

---

Chłopaki chwalili Marcysię:

— Pracowita, bo i prawda, ale potworne dziewczysko i stare.

We żniwa cisną się tylko do jej zagona, bo żnie za dwoje, przoduje zawsze. O ożenieniu żaden nie myśli.

Na wieś Marcysia nie chodzi, nawet do starych — boi się.

— Jeszczeby mnie w komorze zaparli i nie puścili.

Odwiedzają ją tylko siostrzanki, Zośczyne dziewuchy. Pokochały ciotkę, całują w obie ręce. Zawsze im się coś u niej podoba; to korale, to chusteczka. Marcysia daje. Taka rada, że ją odwiedzają.

Wyczekuje niedzieli z upragnieniem. Czasem zostawia dzieciom pieróg ze śniadania, kawałek mięsa z obiadu. Dziewuchy całują ręce i pochlebiają.

Opowiadają jej, co tylko na wsi zobaczą, usłyszą. W alkierzu zasiadają razem i gawędzą. Czasem ciotka układa w skrzynce. Radość nieopisana, bo całe wieko skrzynki wylepione obrazkami, kolorowym papierem. A w skrzynce śliczności. Od czasu do czasu dziewuchy wydają okrzyki zachwytu. W przytworku tyle różności! Guziki świecące, szpilki z łebkami. Mamulka dała za jednę taką szmaciarzowi wszystkie ich stare chodaki. Marcysię cieszy radość dziewczyn. Cieszy się jeszcze więcej, kiedy obdarowane całują jej ręce.

Do takiej ciotki zaszła kiedyś i sama Zośka. Przyszły i inne siostry, siostrzanki. Ale Marcyna najlepiej rada Zośczynym dzieciom.

Ze skrzynki zaczynają zaś znikać po kolei chusteczki, krawaty; znikła nawet ulubiona Marcysi spódnica, ta czerwona w białe kwiatki.

Służące ruszają ramionami.

— Ty, głupia, zapomniałaś im wszystkiego. Za co one cię miały? Za ten proch pod nogą!

Marcysia pamięta, gdzieżby miała zapomnieć! Ale jej tak miło dawać „podarza;“ raduje się, że ją teraz uważają, nadskakują jej.

Kiedyś spotkała się z matką. Matka złagodniała, wymawiała, dlaczego do domu nie natrze.

— Toćeś dziecko przecie.

Marcysia nie pójdzie, pani nie pozwala, bo kurników pilnuje, ale cieszy się, że dla niej teraz wszyscy inni, jak byli. Byłaby nawet mamie pożyczyła pięć rubli, ale już i tak nadebrała. Chodziła do pana prosić, ale tę samą odpowiedź usłyszała:

— Wzięłaś już naprzód kilka rubli.

Prawda, że wzięła. Kupiła trzewiki Zośczynym dziewuchom.

A na wsi siostry Marcysi kłócą się.

— Tybyś koszulę ostatnią z niej zdarła.

— A tyś gorsza zazdrosna, jak ja.

Kłócą się, a Marcysi zaskakują.

Z twarzy jej znikł smutek, przygnębienie; śmieje się teraz rada, znikło jednak i ze „schabów“ wiele. Marcysia przyrzeka sobie, że teraz to już nic nie da, choćby płakali, prosili, ale pewno nie wytrzyma. Przyjdzie jedna, druga w niedzielę i zawsze coś pod pachą wyniesie od siostry.

— Niech ich tam — myśli sobie — już taka moja dola, żebym nic nie miała. Weźta, nacieszta się.

Kiedy jej czynią uwagi co na starość zrobisz, gdy im rozdasz wszystko, kto cię przygarnie — zastanawia się i posępnieje.

Co zrobi—nie wie; wie tylko, że nie powróci nigdy do starych, do żadnej z sióstr nie pójdzie także.

Jużci starość nie będzie wesoła. Służba, wieczna służba, aż sił zabraknie, a potem co?... Łaskawy chleb, gorzki, albo kij żebraczy. Swego kąta nie ma, nie będzie miała. Gdzież się podzieje?... Czasem umierają młodo, to i raz koniec biedzie; ale Marcysia zdrowa, nie chorowała nigdy, doczeka z pewnością tej nieupragnionej starości, przed którą strach, o której myśl napędza łzy do oczu. Będzie z nią tak, jak z kulawą Maryną: służyła, służyła, a zmarła gdzieś pod płotem swoich krewniaków.

Co będzie, to będzie!

X. X.

módz jej może władza państwowa, głównie przez założenie w stolicy biura statystyczno-literackiego, gdzieby skupione i opisane były wszystkie pisma krajów koronnych i prowincyi. Wszystko to nie ze względów policyjnych, ale w celu poznania umysłowego bilansu, ogólnej fizyognomii narodów.

Tych kilka uwag ogólnych nasunęła mi praca C. Mischlera p. t. „Die Literatur-Statistik in Oesterreich“ (w *Stat. Monatssch.* wydawanego przez Stat. centr. Comis. w Wiedniu, 1886, I). Ponieważ badania autora dotyczą przeważnie ludów słowiańskich, zamieszkujących Austro-Węgry, a zatem i polaków, przeto postanowiłem poznajomić czytelników z wynikami jego pracy.

Statystyka dowodzi przewagi niemczyzny w Austryi na polu umysłowem — wprost przeciwnie niż w polityce.

Niemcy austryaccy wydają więcej dzieł, niż wszystkie literatury słowiańskie razem wzięte, a konsumują (?) jeszcze więcej, gdyż znaczna ilość książek rozchodzi się w państwie niemieckiem. Pod tym ostatnim względem zajmuje podobne stanowisko literatura polska, której wydawnictwa obliczone są głównie na Królestwo a w części i Poznańskie. Co do konsumcyi przypada w t. z. Austryi cislitawskiej:

1	dzieło	na	4,000	mieszk.	w literaturze niemieckiej
1	„	„	6,000	„	„ czeskiej
1	„	„	10,000	„	„ polskiej
1	„	„	16,000	„	w lit. serbskiej i kroackiej.

Nawet objętością przewyższa literatura niemiecka słowiańskie; bo kiedy 10 dzieł niemieckich obejmuje 26 tomów, to na 10 czeskich 14, a na polskich przypada ledwie 11 tomów.

W literaturze niemieckiej, silnie rozwiniętej, przeważa charakter naukowy i techniczny; czeska służy do połowy w celach zabawy, następnie oddana jest wychowaniu. Polska nosi wybitnie piętno religijne. Przewaga dzieł naukowych, zwłaszcza historycznych, nad praktycznemi, daje się wytłomaczyć stanem politycznym narodu, zwróconego całą duszą do przeszłości. Zaniedbanie pedagogiki idzie równolegle z analfabetyzmem niższych warstw i z mocno odgraniczoną, do kastowości prawie posuniętą oświatą. Pod względem ceny książek zachodzi taki stosunek między dziełami niemieckiemi, czeskiemi i polskiemi, jak 10 : 13 : 82; pod względem ilości zaś jak 10 : 26 : 61.

Niemiecka książka kosztuje przeciętnie 1.80, polska 1.36, czeska tylko 68 *). Stąd wyjaśnia się ogromna popularność literatury czeskiej. Na beletrystykę przypada stosunkowo najwyższa cena. W roku 1883 wydał niemiec przeciętnie 46 cnt. na dzieła w swoim języku, polak 14 cnt. a czech 11 cnt.

W państwie niemieckiem wypada na głowę konsumcya wartości 1 marki. Nie wliczono tu książek przywożonych z zagranicy (do Galicyi z Królestwa), ale i z temi milionom służą za cały pokarm umysłowy: kalendarz, modlitewnik, albo elementarz. W rozpowszechnieniu wydawnictw niemieckich wykazuje statystyka literacka cofanie się wstecz, przedewszystkiem Austryi i krajów alpejskich, a znaczny postęp w słowiańskich. Beletrystykę także ustępują niemcy w Austryi słowianom, mającym bezprzecznie poetyczniejszą naturę. Ilość poezyj samych, wydanych jednego roku w Czechach, przewyższa liczbę wszystkich poezyj niemieckich, wychodzących w Austryi. Niemiec jest trzeźwy, praktyczny, przenoszący naukę nad marzenie.

*) Zarówno w kolei porównania, jak i w oznaczeniu różnic stosunku widzimy pomyłkę, której z powodu oddalenia autora artykułu nie możemy usunąć. *Red.*

Wogóle panuje on w Austryi potęgą ducha i — pieniędzy, ale nigdy uczuciem, stanowiącem główną broń ludów słowiańskich. Ta różnica między niemiecką-męską a słowiańską-niewieścią literaturą tłomaczy, dlaczego w Czeczach i w Polsce tak wiele pierwszorzędnych autorów należy do płci żeńskiej. W ścisłym związku z tem zjawiskiem zostaje wzrost literatury beletrystycznej w Galicyi i w Czechach. Za pomocą t. z. zbiorowych wydań szerzą zwłaszcza czesi niezwykłą ilość powieści (z 542 dzieł należy 320! do edycyj zbiorowych).

Powyższe dane statystyczne pozwalają zajrzeć głębiej do samej duszy narodu. Wskazują one następujące etapy duchowego rozwoju. Pierwsze zawiązki literackie zawdzięcza społeczeństwo natchnieniu, ochrzczonemu mianem religii. Drugi krok poświęcony jest wychowaniu, zupełnie tak, jak pierwsze wyobrażenia, przekraczające świat zmysłowy, są religijne a lata dziecięce życia ludzkiego okresem nauki.

Po nich następują czasy młodości, czasy poezyi, a po nich dopiero epoka nauki. Literatura niemiecka stoi na tej ostatniej wyżynie, kiedy np. słowieńcy, u których pedagogia i beletrystyka stanowią prawie wyłączny pokarm umysłowy, zostają na bardzo niskim stopniu rozwoju, a na najniższym podobno słowacy węgierscy. Polska literatura zajmuje stosunkowo dość niskie stanowisko, płody jej muzy dostają się tylko na Szlązk i Ruś. Na 17% niemieckich dzieł komisowych a 26% kroackich przypada polskich aż 37%, a wspomniałem już, że wielka ilość książek komisowych, oznacza niski stan literatury. Pod tym względem stoją czesi wyżej od niemców. Zaledwie 7% dają w komis. Wogóle z nakładowych stosunków czeskich widać wysoką bezinteresowność autorów, a wielką ze strony publiczności poczytność. Z nowych książek nakładowych przypada rocznie na Niemcy 19%, na Czechy 9%, na Kroacyę 8%, na Galicyę tylko 3%. Główny kontyngens nowych dzieł dostarczają tu książki praktyczne, podręczniki szkolne, prawnicze itp. Kalendarze zajmują 92 pozycyę!

Statystyka tłomaczeń wykazuje charakterystyczne znamiona. Niemiecka literatura ma sama zaledwie 2% przekładów a dostarcza innym największą ilość oryginałów. Niemiec austryacki tłomaczy najchętniej z węgierskiego, słowiańskich dzieł unika. Na przeciwnym biegunie stoi literatura czeska: z niej nikt prawie nie tłomaczy, sama zaś ma 8% przekładów. Żywioł polski jest pod tym względem dość wstrzemięźliwy tłomaczymy tylko pierwszorzędne dzieła, albo głośne powieści. Przekładów w r. 1883 mieli: czesi 70, niemcy 37, kroaci 16, polacy 14, serbowie 8.

Co do nakładów i miejsc nakładowych równają się czesi niemcom. O całe niebo niżej stoją pod tym względem galicyanie. Oto na 42 miejscowości nakładowych w Austryi przypada 170 nakładców. W Czechach na 40 miejscowości 117 nakładców, a w Galicyi na 9 — 27. W Austryi przoduje naturalnie Wiedeń, w Czechach Praga, a w Galicyi Lwów, dalej Kraków. Tylko w Czechach tętni życie na prowincyi, w innych krajach austryackich skupia się ruch tylko w miastach stołecznych; świadczy to o ludowym charakterze literatury i o rozszerzonej już między ludem oświacie. Każda gmina prowincyonalna stanowi tu pewną umysłową potęgę. Na Morawach jest nawet udział prowincyi w ruchu księgarskim o wiele większy, niż w stolicy. Pod tym względem ma literatura polska charakter wyłączny, więcej do niemieckiej, niż do czeskiej zbliżony. Ogniskuje się bowiem wyłącznie w dwu miastach.

B.

August i Aleksander Stekert. **Słownik biograficzno-historyczny polski**, tom I. Kraków, 1886, lit. A—C.

Pod godłem Salustyusza „Sława przodków jest niejako świecznikiem potomności“ kryje się niesumienny fabrykat, który trzeba odsłonić i nazwać po imieniu. Jest to genealogiczny herbarz rodzin polskich, obliczony więcej na próżność tych, którym schlebia bliskie ze szlachtą lub magnatami sąsiedztwo, niż „Słownik biograficzno-historyczny,“ mający na oku cele naukowe, albo praktyczne. Praca ta, zakrojona na olbrzymie rozmiary — o ile wnosić można z pierwszego tomu, obejmującego na 408 str. petitem niespełna trzy litery alfabetu — chciałaby uchodzić za źródłową i samodzielną, a jest właściwie zlepkiem z takich dzieł, jak: *Herbarz* Niesieckiego, *Encyklopedya* Orgelbranda itp. Sążnisty spis źródeł, na czele dzieła umieszczony, może zmylić tylko nieświadomego rzeczy, my rozumiemy się na farbowanych lisach. Niesumienność autorów posuwa się do tego stopnia, że powtarzając za panią matką duby smalone, podają je za najświeższe wiadomości „z rękopisów.“ Proszę tylko przeczytać notatkę o Pawle Borzęckim (I 213) gdzie wypisane figle Paska uchodzą za filozofię „rękopiśmienną.“

Na niniejszy tom sporej objętości składają się, z wyjątkiem kilkudziesiąt imion odznaczonych w historyi, w nauce lub w sztuce, same plewy, spis nazwisk bez żadnego znaczenia, osoby, o których pp. autorowie skłonni do panegiryków, nie mogą *nic* powiedzieć. Przeciętne więc pozycye tego słownika historycznego tak wyglądają:

„Bortnowski z województwa brzesko-litewskiego zostawił kilku synów i dwie córki (str. 209). „Bierzyńska zmarła 1876 na ręku jedynego syna i pochowaną została w grobie familijnym parafii miejscowej“ (str. 137). „Pan Bogdański Antoni był w 1856 do 1862 mężem właścicielki dóbr Jakubowic Wielkich“ (str. 165). Pan „Chrostowski był mostowniczym inflandzkim temi czasy“ (str. 369). X. posiadał jakąś tam Wólkę, V. dzierżawił Borki, Z. spłodził półtuzina córek, albo zostawił cztery pary synów i oto wszystko, co mogą pp. autorowie powiedzieć o swoich „historycznych“ bohaterach.

Osoby znane i zasługujące rzeczywiście na uwiecznienie w Słowniku historycznym są byle czem zbyte, albo nawet mylnie opisane. Informacye z dziedziny historyi, literatury i sztuki są najniedokładniejsze. Tak np. nie podano w zapisce o Ahornie nietylko roku, ale nawet stulecia, w którem żył, a poświęcono mu dłuższą wzmiankę. Bełcikowski znany jest autorom tylko jako pisarz dramatyczny, Anczyc zaś żyje jeszcze w ich imaginacyi. Wiadomości o królach polskich, np. o Bolesławach, są dziecinne, albo wiekową pleśnią porosłe. O kronice Dzierzwy dowiadujemy się arcyważnych rzeczy, że „jest *pierwszym*, co dzieje Polski poczyna od początku świata *ab origine mundi*, jak się wyraża Lelewel, że miejscami powołuje się na kroniki rzymskie i wspomina W. Kadłubka, a nadto wzywa Mateusza“ — *sapienti sat!...* Obok takich uczonych wiadomości czytasz inne, bardziej budujące: „Antoni, malarz warszawski, wspominany w aktach miejskich starej Warszawy.“ „Bernaccy o nich nasi pisarze przed Niesieckim nie mogli wiedzieć“ (str. 35 i 106). Bądźże z tego mądrym! Albo „Branicki Stanisław *bodaj* czy nie brat biskupa, podpisał *pewien* extrakt“ (str. 239), „Bogdałowski na Rusi“ (str. 164) i basta... Niektóre informacye są wprost oburzające, jak np. o Chmielowskim, którego mianują docentem lit. pol. „z warunkiem, iż w ciągu lat dwóch pozyska stopień magistra filologii słowiańskiej!“ (str. 339). Inne czerpane z bajek w rodzaju „Tysiąc nocy i jedna.“ Oto np. Stefan Chmielecki, wojewoda kijowski, pochodzący na-

turalnie „ze szlacheckiej rodziny," staczając „cudowne prawie" walki, w jednej z nich położył trupem 40,000 tatarów a tysiące niewiast w *plon* ujętych uwolnił." Nieprawdaż, dziarski to chłopak z tego pana Chmieleckiego...

Pochlebstwa i panegiryki stanowią rodzaj specyalności pp. autorów; w tem rzemiośle są rzeczywiście nieprześcignięci. Każdy ród, to bukiet najpiękniejszych kwiatów osobliwszej woni. Antonowicze np. „to rodzina w kraju zasłużona wielu wydała uczonych i zacnych obywateli." Baliccy „od 400 lat chwałę imienia swego po Węgrzech, Czechach i Polsce roznieśli." „Piotr Bieliński z Wielkich i Małych Bielin, herbu Szeliga, hrabia, kawaler wielu orderów, *najzacniejszy* obywatel, o którym słusznie powiedziano, że cnota wziąwszy go za rękę od ostatniego szczebla urzędów publicznych i zawiodłszy go na najwyższy, oddała nieśmiertelności" (str. 126). „Chlebowicz Jerzy Karol, pan na ojczyznę szczodry, nie zostawiwszy po sobie żadnego płci męskiej potomka, wszystką dzielność przodków swoich z sobą razem wniósł do grobu" (str. 330). Pochlebstwom dla współczesnych nie masz końca ani miary. Ta „rodzina już to nabyciem zasług obywatelskich, już odznaczeniem się w bojach, świetnie na kartach przeszłości naszej jest zapisana;" tamten „dom starożytny znany z zasług, imienia i bogactw, jeden z najznakomitszych w kraju — wysokie godności wojskowe i cywilne piastujące, znakomite w kraju położył zasługi;" znów inna rodzina „hrabiowie państwa rzymskiego," to „jedna z najdawniejszych, najznakomitszych, najzacniejszych" itp. itp.

Pomimo krocie tysięcy nazwisk z pod ciemnej gwiazdy, uwiecznionych tem wielkiem głupstwem, brak tu zupełny prawdziwie zasłużonych imion, jak np. Aszpergerowej, artystki dramatycznej, prof. Altha, znakomitego lingwisty Baudouina de Courtenay, ruchliwego pisarza i wydawcy ludowego J. Chociszewskiego i t. p. Natomiast pomieszczono autorów panegiryków akademickich i herbowych właścicieli dóbr i dzierżawców, udekorowanych orderem, lub nobilitowanych... Od tego rodzaju fabrykatów niemożna wymagać krytyki, ale należałoby przynajmniej unikać takich sprzeczności, jak następujące: „Wiadomości *żadnych* nie mieliśmy — powiadają pp. autorowie Słownika — o poselstwie Bzickiego do Turcyi" (str. 305), a *po kilku* wierszach dodają: „Otwinowski opisał jego poselstwo do Turcyi."

Język pp. Stekertów zaprawiony na stylu naszych... heraldyków, mających, jak wiadomo, swój właściwy, tradycyjnie przekazywany sposób pisania, tak łechcący podniebienie naszych „nieśmiertelnych", grzeszy nieraz przeciwko najprostszym regułom gramatyki i logiki. Zamiast „szacunek" czytamy „szacónek" (str. 265, 276, 312, 325); „Chr. mąż rycerski w ojczyźnie i Węgrzech" (str. 364); „Karol Emanuel panował aż do bitwy pod Nawarą, *w której* abdykował na imię syna, *któremu*" itd. (por. str. 37 i 309); „Chrościński był to rymopis polski ze skażonej epoki to jest z końcem XVII wieku" (str. 368). Błędów drukarskich bez liku i to tego rodzaju: „Chrz. dziennikarz, zmarły 1830, drukował *Gazetę warszawską* 1848," albo: „Chorzewski zakończył życie 1860 bił się w bitwie pod Raszynem 1869" (str. 361 i 373).

Henryk Biegeleisen.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA FRANCUSKA.

Paryż, 5 lutego.

Przyjęcie Ludwika Halevego do Akademii. — Uwagi Daudeta o realizmie w powieści.

Z kronikarskiego obowiązku wypada mi zapisać uroczyste przyjęcie do Akademii Ludwika Halevego. Ceremonia ta nie zasługiwałaby na wzmiankę, gdyby zakorzeniony we Francyi zwyczaj nie przywiązywał do niej większego znaczenia, niż na to zasługuje. Stare jednak zwyczaje trzymają się mocno nader nad Sekwaną a dzień przyjęcia nowego członka do Akademii jest dla Paryża świętem nie lada. Obchodzi ono wprawdzie zbliska tylko uczonych mandarynów z zielonemi palmami i koterye, która ich otacza — mówi się jednak i pisze o tem szeroko. Dzienniki zapełniają całe kolumny wypowiedzianemi przy tej sposobności mowami, zajmują się szczegółowo osobami głównych aktorów tej komedyi, rozegrywanej wobec przepełnionego audytoryum i dam wystrojonych. W salonach tych zachowują się resztki dworskiej etykiety—J.K.W. hrabia Paryża jest stałym uczestnikiem tych przyjęć—panuje w nich przekwitła retoryka, umiejętność wypowiadania panegiryków, opowiadania o rzeczach najdrażliwszych bez narażenia sobie kogośkolwiek, jeżeli zaś dopuszcza się krytyka, to w formie tak ocukrzonych grzecznostek, że można ją brać zarówno za naganę jak i pochwałę...

Zwyczaj każe, że każdy nowowstępujący „nieśmiertelny" wygłasza „pochwałę" swego poprzednika. Tym razem tak się złożyło, że dowcipny dramaturg i beletrysta chwalić miał ciężko uczonego historyka i publicystę hr. d'Haussonville. Aczkolwiek p. Halevy dalekim był zawsze od prac i działalności tej kategoryi, nie przeszkadzało mu to przecież przez dwie godziny mówić o zmarłym, zwłaszcza, że wydarzyła się sposobność wypowiedzenia dodatkowej pochwały rządów Ludwika Filipa, wobec jego potomka i „następcy." Nowy akademik nie omieszkał podnieść w swem przemówieniu, że jest synem znanego i cenionego w swoim czasie dramaturga Leona Halevy i krewnym bardziej jeszcze znanego kompozytora *Żydówki*. Karyera twórcy libreta do *Pięknej Heleny* (na współkę z Meilhacem) i innych ofenbachiad, tchnących nieokiełznaną swobodą i przepełnionych satyrą gryzącą, zupełnie niespodzianie zakończyła się u drzwi Akademii. Autor pozostał jeszcze sobą w pracach beletrystycznych jak *Monsieur et Madame Cardinal*, następnie jednak dokonał nagłego zwrotu, napisawszy powieść *l'Abbé Constatin*, która zyskała wielką popularność w pewnych kołach. Puścił ją on w świat wtedy, gdy ogół zmęczony był już nieco brutalnymi obrazami, jakie roztaczała przed jego oczami szkoła naturalistyczna. Wbrew portretom Zoli *l'abbé* Halevego okazał się w szacie tak niewinnej i czystej, w otoczeniu tak dobranem, że wyidealizowana ta sielanka nie mogła nie zwrócić na siebie uwagi, tembardziej, że i autor do niewinnych nie należał. Był korzącym się grzesznikiem a tacy są mile widziani. Nie przestawał zresztą umiejętnie kołatać do drzwi przybytku, który jest marzeniem tylu francuzów, umiał się ułożyć, elegancko bić w piersi i skrucha ta została wynagrodzoną.

Halevemu odpowiadał dawniejszy jego kolega z Akademii i towarzysz po dramaturgii, Pailleron. Długi ten również panegiryk autora *Świata nudów* wypowiedziany był z większą swobodą, niż na starego w zawodzie i godności przystało — Pailleron przytem, zgodnie również z przyjętym zwyczajem, traktował nowego kolegę trochę z góry, z ojcowską pobłażliwością, pozwalając sobie na dowcipne uwagi i lekko ironiczne wycieczki, ktoreby były nie dozwolone w ustach nowicyusza.

Dajmy jednak pokój Akademii i posłuchajmy szczerych wynurzeń o sztuce utalentowanego powieściopisarza, który nie wejdzie zapewne do grona nieśmiertelnych, przynajmniej niedawno sam wypierał się tego gorąco. Mówimy o Alfonsie Daudet. Napisał on przedmowę do wydanej świeżo powieści jednego z młodych autorów, w której składa swe artystyczne wyznanie wiary, różniące się mocno od przyjętego realistyczno-naturalistycznego katechizmu. Książka Edwarda Lepelletièr, którą Daudet poprzedził swem poleceniem (co także jest upowszechnionym we Francyi zwyczajem) nosi tytuł *Les Morts heureuses*.

„Książka wasza — pisze Daudet — wyświeca mimowolnie jeden ważny bardzo punkt literackiego sporu i popiera zapatrywania, które często wypowiadałem, podtrzymując je nawet przeciwko dwu mistrzom nowoczesnej powieści, Goncourtowi i Zoli.

Czy istotnie trzeba mówić o tem tylko co się widziało własnemi oczami, nic nadto; czy też artysta ma prawo rozszerzyć i pogłębić swój widnokrąg? Czy może patrzeć przed lub po za siebie, daleko bardzo, wszędzie, nietylko własnemi oczami krótkowidza, przechodnia, lecz tym przenikającym wzrokiem, jakim Michalet patrzeć umiał na wieki średnie, Flaubert na zamarłą Kartaginę, Leconte de Lisle na cywilizacye pierwotne?

Czyż wreszcie Goncourt sam, gdy wyprowadzał na scenę tak dobrze poznane przez się postacie osiemnastego wieku z całem ich drobiazgowem otoczeniem, czyż wtedy nie tworzył dzieła równie prawdziwego, równie „widzianego" i odczutego (vécue), jak najpiękniejsze swe studya współczesne? Czyż nie wniknął on równie głęboko we wszystkie tajniki charakteru i życia kobiety ówczesnej, czyż nie zna jej równie dobrze — wielkiej damy lub kurtyzanki — jak współczesne: *Chérie, La Faustin, Germinie Lacerteux*? Ponieważ wymieniłem Zolę, pytam się więc jeszcze, kto uwierzy, że dzięki kilku chwilom spędzonym w kopalniach i tastystycznym kompilacyom — zawdzięczamy tak wymowne karty *Germinala*?... Nie chodzi o to, żeby patrzeć, lecz żeby widzieć..." Największą wreszcie zaletą zalecanego autora jest zdaniem Daudeta ta okoliczność, że do żadnej nie należy paraffi. „Jesteś pan takim — pisze pod koniec autor *Safony* — jakim starałem się być od lat trzydziestu, od chwili, kiedy wziąłem pióro do ręki — niepodległym. Och! tak, żadnych systemów, żadnych szkół, przedewszystkiem zaś żadnego niewzruszonego probierza."

Podajemy tę szczerą tyradę dla charakterystyki znanego powszechnie autora i dla zaznaczenia rozwoju, jaki dokonywa się w szkole realistycznej. Czyż jednak zebrano już tak wielką ilość „dokumentów ludzkich, ażeby pilno było porzucać je dla *wizyj*, tak nadużytych w szkole romantycznej. Jeżeli chodzi zresztą o rodowód szkoły naturalistycznej, to polecam interesującym się tym przedmiotem dokumentalną historyę i estetykę tego kierunku, którą przepełniony jest najnowszy utwór Zoli, drukujący się właśnie: *L'Oeuvre* (Dzieło).

P.

TEATR.

Panu Galasiewiczowi i pani Mellerowej teatr nasz powinien być bardzo wdzięczny, albowiem obdarzyli go rublodajną sztuką. *Chata za wsią*, dramat przerobiony z powieści Kraszewskiego, jako dzieło *sceniczne* posiada istotnie wszystkie czynniki, które mogą podobać się publiczności zarówno niewykształconej jak i przeciętnie inteligentnej, szukającej silnych lub efektownych wrażeń. O utworze tym podaliśmy, wzmianke gdy po raz pierwszy grały go przyjezdne towarzystwa prowincyonalne. Na wielkiej scenie zyskał dużo, spotęgował wrażenie. Pod wzorzystą szatą kryje się przeniesione

z powieści prawo przystosowania się do otoczenia, występuje na jaw egoistyczna siła pewnego gatunku ludzkiego, który odtrąca obcego osobnika i odmawia mu przywileju współżycia w swojej sferze. Ta głębsza logika dramatu, tkwiąca w jego faktach, potrącona dość wyraźnie przez autorów, przed oczyma widza ginie w splocie barwnych, bardzo dobrze skreślonych scen miłosnych, oraz wśród ożywionego ruchu mas zbiorowych. Żywioł uczuciowy, traktowany w sposób na pół idealny, łączy się tu harmonijnie z obrazowaniem życia koczowniczego cyganów, oraz scen ludowych, a oba razem tworzą malowniczą całość. Zapewne, dzieło to jest przeróbką, nie ma wybitnej wartości literackiej, ale jest z artystycznym smakiem szlachetnie pisaną sztuką na wielkie widowisko, w której autorowie przywołali na pomoc środki dekoracyjne i fantasmagoryę sztucznego oświetlenia.

Role główne dostarczyły artystom pola do szerokiego popisu. Panna Marcello była doskonałą Azą, pełną ruchliwości, demonicznego uroku, szamocącą się wśród porywów namiętności; p. Leszczyński podnosił do nadto bohaterskiej wyżyny nastrój roli Tumregu, cygańskiego Romea, ale porywał siłą i ogniem; panna Wisnowska traktowała zbyt lirycznie, zbyt miękko i nikle rolę Motruny, której potrzeba było więcej prostoty. P. Galasiewicz, gdyby miał głos głębszy i obszerniejszy, zrobiłby większe wrażenie w roli głupiego Janka, traktowanej zresztą bardzo starannie i z poczuciem ludowego charakteru; p. Rapacki zagrał barwnie Lepiuka, podnosząc scenę śmierci przedstawieniem prawdziwem a umiarkowanem; p. Kotarbiński nadał właściwą charakterystykę roli Aprasza, poważnego, zamkniętego w sobie przewodnika bandy cygańskiej. Na cześć reżyseryi i wystawy wypowiedziano już szereg pochwalnych tyrad, zresztą zupełnie zasłużonych. Zaznaczę tylko udatne wywoływanie efektów oświetlenia zapomocą nowych przyrządów optycznych, wprowadzonych świeżo na naszą scenę po wyjeździe trupy meiningeńskiej.

Krótko się załatwię z innemi nowościami, które zresztą nie przedstawiają materyału do głębszych uwag. Jednoaktówka Heilperna *Model na bohaterkę* jest niezbyt świetną farsą niemiecką, napisaną dosyć wesoło i dosyć zgrabnie. Największą zaletą jest jej krótkość. Artyści, grający główne role, nie czuli się w swojej skórze.

Deputowany z Bombignac, 3-aktowa komedya Bissona, nie miała powodzenia, jest jednak dowcipną i wesołą, chociaż zbyt przypomina *Męża na wsi*. Poparta głównie dobrą grą p. Tatarkiewicza, słucha się przyjemnie.

Niewielkie łaski zyskała u słuchaczów stara, ale pełna dotąd nieocenionych zalet komedya Fredry: *Mąż i żona*, będąca do dziś pełną głębokiej ironii satyrą małżeńskiej niewiary i obrazem moralnej zgniliznysfer arystokratycznych. Dla wykształconego literacko słuchacza ma swój powab archaistyczna miejscami forma języka; na ogół sam przedmiot wywarłby większe wrażenie, gdyby go z równą zdolnością obrobił pisarz wielkiego talentu w formie zbliżonej do dzisiejszego smaku. Wyborną jest tu szczególniej satyra przewrotności i obłudy obyczajowej, która stroi się strzępkami kaznodziejskiego frazesu. Rolę męża odegrał bardzo dobrze z właściwem wydobyciem wszystkich subtelności p. Ładnowski, równie szczęśliwą i naturalną żoną była p. Lüde, chociaż pod koniec brakło jej żywości. Przewrotną rolę subretki naturalnie oddała p. Leszczyńska.

Wypada mi coś powiedzieć o *Skrytce*, jednoaktówce p. Gomulickiego, ale coż, kiedy autor okropnie się gniewa na *zoilusa* *). Zresztą tę mdłą salonową gadaninkę, zalecającą się tylko pewną dozą łatwości dyalogu, można uważać za pierwszą dramatopisarską „próbę atramentu" zdolnego poety, po której następne „oby mu lepiej się udały." Nie pomogła tej nikłej sztuce dobra gra p. Wolskiego i p. Wisnowskiej, która z wdziękiem i finezyą odnawiała pensyonarskie wspomnienie, a piosenką o profesorze matematyki podbiła małoletnich słuchaczów.

S. K.

*) Gniewa się bardzo dowcipnie w wierszyku (*Kuryer Codzienny*), zasługującym na przytoczenie i zapamiętanie:

O ZOILUSIE.

Snem zowią życie poety...
Lecz w śnie tym często się zdarza,
Iż jakiś krytyk zgłodniały
Zajadle gryzie pieśniarza.

Potrafi on się obronić,
Byle-by rozemknął oczy—
Lecz często, zanim się zbudzi,
Tamten dość krwi mu utoczy...

Wieszcz widzi ssawki krytyka,
Krwią swoją ufarbowane —
Nigdy jednakże Jowisza
Nie prosi o ról zamianę.

Najbardziej swędzące bóle
Przekonań jego nie zmącą:
I woli cierpieć gryzienie,
Niż być... istotą gryzącą. (*Przyp. Red.*)

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Dziwne widoki. — Politykomania jako dźwignia umysłowa. — O przemianie gatunków szlacheckich. — Przeróbka typu.— Życie na wsi i w mieście. —Jeszcze bal polski w Wiedniu. — Taniec polityczny jako sposób pokonania Bismarka. — Szczera wesołość à la Gasparone. — Lekarstwo na biedę. — Niewyganiany.— Dalszy ciąg wojny pomnikowej. — Do Fikalskich.

Widziałem (w zeszłym tygodniu) białe lasy, których drzewa ośnieżył iskrzący się w słońcu szron; widziałem kuropatwy, czekające przy drodze na zgubione z przejeżdżających sanek ziarno; widziałem dziki po raz setny drwiące z wymierzonych ku nim luf, ale bardziej od tych białych lasów, śmiałych kuropatw i zuchwałych dzików zdziwiła mnie gromadka „szlachty," z którą kilka dni przepędziłem. Pomijam to, że nie widziała ona we mnie złego Boruty z suchej wierzby „pozytywizmu" warszawskiego i że umiała zachować swą niezależność od napomnień miejscowego proboszcza, który z dworu i chaty wypędza dyabła *Prawdy*; ale, co ważniejsza, obywatele i obywatelki nie powracali z balu i nie wybierali się na bal. Pojąć nie mogłem, czemu nikt mnie nie pytał:

— Jakże tam panie karnawał w Warszawie — huczny — co?

Największej rozmowy poświęciliśmy naturalnie Bismarkowi i konkurencyi zbożowej, ale dużo również ważnym sprawom społecznym (do kieliszka i kart wcale namawiany nie byłem). Nie mogę zataić, że „szlachcic" od lat dwudziestu znacznie urósł. Opój, szaławiła, koniarz, panek ustępuje widocznie z pola, jak człowiek dziki przed cywilizowanym ucieka w niezdobyte jeszcze kąty i tam używa. Na miejsce ograniczonego i często nieprzytomnego „przedstawiciela narodu" wchodzi myślący przemysłowiec, który szuka sposobów podniesienia renty gruntowej, szanuje swego proboszcza głośno, podżartowywując z niego cicho, i ogarnia codzień wzrokiem całą Europę. Naśmiano się już do syta z politykomanii naszych szlachciców; ma ona istotnie wiele rysów zabawnych, ale posiada również wielką zaletę: nie pozwala umysłom pełzać ciągle po nizinach interesu jednostkowego, lecz unosi je w sferę spraw ogólniejszych. Skrzydła te bywają słabe i niezdolne oprzeć się wichrom fantazyi, ale zawsze są to skrzydła. Ażeby ocenić ich wartość, należy przyjrzeć się umysłowym bezlotkom, ludziom, którzy wyłącznie gonią toczący się przed nimi pieniądz. Takim bezlotkiem jest nietylko chłop, ale także i może jeszcze w wyższym stopniu mieszczanin. Ten już nawet nie zaprząta sobie głowy ani Bismarkiem, ani Bułgaryą, lecz tropi osobiste zyski. Spotkałem niedawno dwu ludzi: jeden był rolnikiem, drugi — piekarzem. Pierwszy w rozmowie wędrował ciągle ze mną po różnych dziedzinach społecznych, po gabinetach dyplomatycznych, zawadzał nawet o literaturę i sztukę; drugi nie dał się odciągnąć od cen zboża i mąki. Ale za to pierwszy wraz ze swą rodziną zaledwie kilka razy do roku bawił się, drugi zaś ciągle karnawałował. Jest to bardzo naturalnem. Nietylko bowiem wieśniak ma mniej sposobności, ale mniej potrzeby bawienia się. Po za żytem, pszenicą, nawozem, bydłem, końmi istnieją dla niego niezmierzone obszary polityki i zagadnień społecznych, po których chętnie buja. Mieszczanin przez cały dzień liczy tylko korzyści i straty materyalne, wieczorem tedy dla odpoczynku musi pójść do teatru lub na bal. Dawniej „szlachcic" wypraw,iał sobie kuligi, gry karciane, huczne tańce, jeździł na karnawał zimowy do Warszawy, na letni — do wód zagranicznych, dziś już tylko magnaci lub bakterye ziemiańskie pływają w roztworach zbytku. Bieda przytem ogólna dotknęła wszystkie stany, ale stosunkowo najmocniej rolników. Właściciel kilkunastu włók musi bardziej się kurczyć, aniżeli właściciel sklepu.

Oto przyczyny, wytwarzające sprzeczność między życiem wielkomiejskiem a wiejskiem: pierwsze huczy, skrzy się, wre; drugie idzie wolno, posępnie, poważnie. Jak śnieg szybko taje lub ginie pod miotłami na ulicach Warszawy, a długo zalega pola, podobnie smutek rozprasza się w życiu mieszczańskiem a rozpościera swe cienie na wiejskiem. Dzisiejszy „szlachcic" opuścił głowę pełną kłopotów i rojeń, przestał już śnić o powrocie dostatku bez pracy, ale jeszcze rozmyśla nad Europą i własnym krajem. Jest to postać czasem wzbudzająca odrazę swą pychą, próżniactwem i ciemnotą, ale daleko częściej jest to strapiony pokutnik, Feniks odradzający się z popiołów lub poważny obywatel kraju — człowiek, któremu bądź współczucia, bądź szacunku odmówić niepodobna. Ująć go w jakąś formułę trudno, bo się przekształca, przerabia, łamie, zgina i przystosowywa do nowych warunków. Powszechny dawniej typ rozpada się na pojedyncze i różne okazy pod młotem niedoli — potem dopiero zapewne te okruchy zlepią się według jakiegoś modelu.

Chociaż więc każdy niemal szlachcic nosi krepę a częściej z jego piersi wybiegają westchnienia, niż śmiech, w okolicy, po której przemknąłem, zabiegły mi drogę objawy pocieszające. Tam bowiem w życiu głębiej i szerzej odbijały się smutki ogólne, niż w płytkiem życiu Warszawy, zmateryalizowanej do szpiku lub rozhulanej do bezprzytomności. Nie tańczą tam ani dla odtraszenia biedy, ani dla przerażenia Bismarka. Nie tak w Warszawie, nie tak w Wiedniu. Zaznaczyłem poprzedniego tygodnia, że w stolicy austryackiej tańczono na złość kanclerzowi niemieckiemu. Ani przypuszczałem, że ta intencya tak świadomie wyrażona była... nogami. *Neue Freie Presse*, która dotąd obierała polską duszę jak cebulę z wszelkich skór, nagle znalazła w niej twarde, zdrowe ją-

dro — na balu. „Kto wyobraża sobie polaków — mówi ta przyjaciółka pełnych kieszeni — w postawie tradycyjnie melancholicznej (!) i naccechowanej rzewnością, ten wczoraj wieczorem przekonał się, że bywa inaczej, *lepiej*. Panowała bowiem na balu polskim taka *swobodna i szczera* wesołość wśród gospodarzy i gości, jak gdyby *umyślnie* wybrano obecną chwilę, aby imponującą ucztą, którą przenikał duch wesela, *przed całą Europą* złożyć *dowód*, że pomimo potężnych, olbrzymich przeszkód i strapień, siła pierwiastku narodowego polskiego tak jest wielka, iż nietylko na arenie politycznej może odnosić tryumfy (!), ale i w pogodnej atmosferze sali balowej... Dzięki okolicznościom wczorajszy bal polski stał się po części festynem *politycznym*, w powietrzu bowiem, w nastroju drgała pewna *demonstracya*. Widać to było i z bogatych kostiumów staropolskich i ze *zwycięskich* oczów pięknych polek, które jak gdyby *dały sobie wczoraj słowo*, ażeby *dla miłości drugiej ojczyzny wyglądać jeszcze piękniej*.“ Złożywszy nam taki zaszczytny hołd, dziennik tłomaczy, że skoro przy kieliszku można krzewić idee narodowe, czemużby nie można „polityki tańczyć?“

Ha! kto wie! Francya, Austrya, Dania próbowały z ks. Bismarkiem walczyć bronią — i przegrały: Anglia, Hiszpania i inne państwa uciekały się do sztuk dyplomatycznych — i także przegrały. Może tedy taniec okaże się orężem skuteczniejszym. Potrzeba tylko jednej rzeczy: ażeby i kanclerz niemiecki zechciał tańczyć. Bo że w walcu, a nadewszystko w mazurze pokonalibyśmy go — o tem ani na chwilę nie wątpię. Zresztą jako *coup de grâce* posłużyłyby nam „zwycięskie oczy pięknych polek, które dla miłości ojczyzny“ postarałyby się wyglądać jeszcze piękniej. Jestem dziś przekonany, że wszystkie wielkie teorye i przewroty polityczno-społeczne nie wywarły na życie nasze takiego wpływu, jak... *Gasparone*. Tam śpiewem walca, my tańczeniem uśmierzamy wszystkie smutki a nawet robimy „demonstracye“ przeciw najpotężniejszemu prześladowcy. Prawdopodobnie już zejdę z tego świata naiwny jak dziecko, które nie może pojąć ani „wypraw polskich do Afryki,“ ani tańczenia polityki na złość Bismarkowi, ani „szczerej i swobodnej wesołości,“ ani wielu innych objawów naszej choreograficznej „miłości ojczyzny.“ Jeśli wszakże ja czegoś nie rozumiem, to nie znaczy wcale, ażeby coś było złem. Ale jeżeli jakiś środek okazuje się praktycznym w jednej potrzebie, czemuż go nie użyć w drugiej, podobnej? Więc możeby np. nasi ziemianie zaczęli tańczyć dla pokonania konkurencyi amerykańskiej? Po co szukać dogodnych rynków zbytu i tanich sposobów produkcyi? Stanąć do mazura w kilka tysięcy par — i *pary* zboża podskoczą na 15 rs. Cóż to lepszego ekonomia społeczna od polityki, żeby się nie dała tańczyć?

Jeszcze o tem wszystkiem nie słyszy ks. Sułkowski, który dzięki tej filozofii osiadł w zakładzie obłąkanych w Oberdöbling. Jest on obecnie przedmiotem cichej walki między Prusami, które go za nie wydalić nie chcą, i Austryą, w której obrębie leżą jego majątki, wymagające kurateli prawnej.

Chyba tańcem rozstrzygniemy sprawę projektów na pomnik Mickiewicza. Wystawione bowiem modele według pomysłu Matejki nie zadowoliły nikogo a powoli z po za pleców mistrza wychyla się znowu z trzecią pracą p. Dykas. Komitet, zgnębiony cielętami, które sobie kupił, nie mając kłopotu, odroczył swój wyrok aż na trzy miesiące w nadziei, że przez ten czas wymyśli sposób nasycenia wilka i uratowania kozy. Daremnie — trzeba było odrazu wypić kielich goryczy, bo go ani odsunąć, ani osłodzić niepodobna. Rzecz dziwna, gdy ochota do składek słabła, tańczyliśmy na pomnik Mickiewicza — i tak fatalnie on się nam nie wiedzie. Czyżby taniec nie zażegnywał wszystkich trudności? Hej, szanowni Fikalscy z Wiednia, objaśnijcie nas w tym względzie!

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Nie pójdziemy do Monaco. — 25 majątków na sprzedaż. — Inteligencya na prowincyi. — Biuro bezpłatnej porady prawnej. — Tryumfator ostrołęcki. — Dręczyciel dzieci. — Skandal w teatrze lubelskim i skandal z powodu teatru lubelskiego.

„Nie pójdziemy do Monaco“ — woła uroczyście *Dziennik poznański*, a zapewnienie to we własnem i prenumeratorów wiejskich imieniu powtarza prasa warszawska. Bardzo piękne hasło, byleby nie brane było tylko dosłownie i co więcej, bardzo łatwe do wykonania. Nie wątpię np., że żaden z 25 obywateli gubernii kieleckiej, których majątki w tych dniach sprzedawane będą przez licytacyę przymusową do Monaco nie pojedzie, chyba, że troskliwa o utrzymanie większej własności fortuna obdarzy go jakim spadkiem. Dwadzieścia pięć majątków na sprzedaż w jednej gubernii, a za pół roku prawdopodobnie drugie tyle — przy tak szybkiem „uruchomieniu“ ziemi za lat kilka lub kilkanaście pozbyć się możemy połowy jej bez żadnych praw wyjątkowych i funduszów nadzwyczajnych. Ciekawem byłoby zbadanie bliższych przyczyn tego „ożywionego ruchu w tranzakcyach sprzedażnych,“ nie każda bowiem ruina majątkowa jest następstwem marnotrawstwa. Nieobrachowane nakłady, kosztowne ulepszenia i t. d. pochłonęły może więcej majątków, aniżeli życie nad stan lub wydatki z powodu klęsk nieprzewidzianych. Dochodząc do pierwszej przyczyny, znajdziemy ją również i tu w lekkomyślności, która nie może spodziewać się nawet pobłażania opinii publicznej, łaskawszej dla wesołych i przyjemnych marnotrawców. Dla usprawiedliwienia tych ostatnich, wynaleziono dzisiaj, a raczej odświeżono starą maksymę: „bogaci powinni wydawać pieniądze na zbytek, to dla nich jedyna możność spłacenia długu zaciągniętego u społeczeństwa.“ Zdanie to, które nie bardzo pasuje z okrzykiem: nie pójdziemy do Monaco — wygłosiła kiedyś nr. Marya Raczyńska, kobieta, bez wątpienia, niepospolitego umysłu, ale która tak się znała na ekonomii politycznej, jak, nieprzymierzając, p. Choiński na filozofii. Popularyzator tej teoryi dodaje jeszcze od siebie: bo jeżeli bogaci wyrzekną się kosztownych zabaw i strojów, wówczas zbankrutują kupcy i pomrą z głodu rzemieślnicy. Dobrze powiada Prus, że hasło to jest nietylko jest fałszywem, lecz i przewrotnem. „Nietylko bowiem propaguje fałszywą ideę społeczną, ale jeszcze robi jakąś skomplikowaną cnotę z bardzo prostego *występku*.“ Teorya ta nie prowadzi wyznawców swoich do Monaco, ale w rezultacie osadza ich na swojskim bruku i zamiast piętnować objawy społecznej zgnilizny, robi z nich owszem patryotyczny obowiązek. Widocznie jednak tego rodzaju patryotyzm traci grunt pod nogami; korespondenci zapewniają, że zabawy na wsi zupełnie prawie ustały. Pragnąłbym wiedzieć wszakże, co wpłynęło na „tancerzy odwetu“: czy nowo przyjęty obowiązek nie iść do Monaco, czy też porzucenie starego obowiązku, który będąc właściwym tylko dla bogatych, przestaje nim być dla bankrutów.

Korespondent z Tomaszowa do *Gazety Lubelskiej* występuje w obronie inteligencyi mało-miasteczkowej, której prasa zarzuca brak życia umysłowego, koteryjność itd. Autor powiada, że każdy człowiek dobiera sobie towarzystwo według przekonań własnych i usposobienia, ponieważ zaś dobór odbywa się w ograniczonej liczebnie sferze, więc też i kółka bywają drobne. Braku życia umysłowego korespondent nie dostrzega, bo przecież książek czytają dużo, chociaż sam przyznaje, że „co tam czytają to inna kwestya,“ dzienniki znowu nie budzą zajęcia, bo przychodzą zwykle spóźnione. Pomijam ten ostatni argument, gdyż nie rozumiem, jakim sposobem pewna wiadomość może być spóźnioną dla tego, kto nie otrzymał jej żadną inną drogą; nie mogę jednak zgodzić się na to, żeby życie umysłowe polegało tylko na czytaniu książek, w dodatku jeszcze byle jakich. Ten właśnie brak żywszego interesu dla spraw ogólnych, o którym mimochodem korespondent wspomina, świadczy o drzemce umysłowej mieszkańców prowincyi i on to podtrzymuje koteryjność. Inteligencya w miasteczkach posiada tyle zadań przed sobą, zadań drobnych, ale pożytecznych, a jednak nie przykłada do nich ręki. Czy w wielu naszych miastach powiatowych istnieją czytelnie? czy mamy do zbytku zakładów dobroczynnych, szpitali, szkół itd. Czy może być różnica przekonań w sprawie założenia ogrodu publicznego, składek na cele ogólne itd.?.. Przecież wszystkie te rzeczy nie należą do niepochwytnych mrzonek, od czasu do czasu dowiadujemy się, że to miasto zakłada nową szkołę, inne — szpital, inne znowu — czytelnię, że tu urządzają wieczorki literackie, tam znowu stałe przedstawienia amatorskie, z których dochód otrzymują niezamożni uczniowie. Dlaczegóż więc to, co jest dostępnem dla jednych, nie jest udziałem wszystkich miast naszych? Dlaczego mogą się odbywać odczyty w Skierniewicach, a nie ma ich chociażby w Tomaszowie?

Korespondent płocki porusza tę samą sprawę, twierdząc, że tak zwanej inteligencyi mało-miasteczkowej brak ludzi inteligentnych, młodzi bowiem ludzie z wykształceniem uniwersyteckiem niechętnie osiadają na prowincyi. Wolą oni zostawać w Warszawie i o chłodzie i głodzie wyczekiwać na świetny los. Mówiliśmy już kiedyś o tem i słowa nasze wywołały cały potok odpowiedzi, w których poza rozmaitymi, pięknie brzmiącymi argumentami, kryło się zwykłe, poziome dążenie do karyery. Najczęściej powtarzał się, chociaż najsłabszym był argument, że lekarz, prawnik lub inny specyalista ma prawo wymagać wysokiego wynagrodzenia swej pracy: ponieważ łożył wiele na swoje wykształcenie. Panowie ci mają widocznie słabą pamięć, zapominają bowiem, że wydatki te ponosiło społeczeństwo w formie stypendyów, zapomóg na wpisy itp. i nie zastanawiają się, że fundusze łożone przez rząd na utrzymanie zakładów naukowych pochodzą przecie z podatków, które płaci ogół, a przeważnie najuboższe jego klasy. Niechby ten młody lekarz, który „nie może przecie żyć za nędzne tysiąc rubli“ spróbował wykształcić się w swej specyalności prywatnie (gdyby to było możliwem) lub raczej niech zrobi tylko ogólny rachunek kosztów swego wychowania, przekona się wtedy, że nie on ma prawo do wysokiego wynagrodzenia, ale owszem jest dłużnikiem społeczeństwa na znaczną sumę. Dług ten dosięga czasem takiej cyfry, że dla spłaty jego trzebaby życie całe poświęcić usługom dla ogółu bez żadnego wynagrodzenia.

Drugim argumentem, którym młodzi specyaliści bronią się od wyjazdu na prowincyę, jest ta okoliczność, że jedynie Warszawa daje możność dalszej pracy naukowej. Piosenkę tę słyszymy od lat co najmniej 15-tu i z tylu ust, iż zdaje się, że piśmiennictwo polskie powinno się chlubić licznemi pracami młodych uczonych. Co innego wszakże widzimy w rzeczywistości.

Piśmiennictwo nasze naukowe razi niezwykłem ubóstwem, wyjątkowo zaś zdarza się znowu, że cenne bardzo prace (np. w dziedzinie medycyny) wydają ludzie, mieszkający na prowincyi. Przetłomaczyć książkę obcą lub streścić artykuł którego z pism zagranicznych można tak samo w Pacanowie, jak w Warszawie. Wielcy uczeni niejednokrotnie pisali swe dzieła w ustroniu wiejskiem lub w małej mieścinie prowincyonalnej, nasi znowu „młodzi konserwatyści" nawet w Paryżu płodziliby tylko ramoty.

Adwokaci radomscy potrafili stworzyć pożyteczną instytucyę — biuro bezpłatnej porady prawnej, z której korzystać mogą ludzie ubodzy. Skromne to zadanie, ale ileż takich drobiazgów pozostaje jeszcze do spełnienia. Obecnie założyciele biura poszli dalej, ponieważ włościanie, bałamuceni przez pokątnych doradzców, rzadko udają się po radę, adwokaci sami zaczynają szukać klientów bezpłatnych. Zawiadomienie o otwarciu biura rozesłali oni wszystkim proboszczom z prośbą, aby wpływem swym poparli usiłowania wytępienia pieniactwa.

Nie wiem, jak przyjmą księża w Radomskiem tę odezwę adwokatów, wiem jednak, że sprawiłaby ona niemały kłopot pewnemu proboszczowi z okolic Kalisza, który w ciągu zeszłego roku miał aż 8 spraw w różnych sądach, przeważnie z ludźmi ubogimi.

Niekontent byłby również z tej instytucyi ksiądz G. w G. Jest to człowiek już niemłody i bardzo zamożny. Pewnego wieczora był on w gościnie u aptekarza i do późnej nocy grał w preferansa. Około godziny jedenastej przychodzi organista i oznajmia, że śnieg pada i dobrze byłoby kazać zaprządz do sanek konie (których, nawiasem mówiąc, proboszcz ma cztery), ponieważ piechotą ciężko będzie iść. Na to proboszcz odpowiada: „szkoda koni, ale obudź dziadów kościelnych i każ im tu przyciągnąć sanie." Organista obudził dwóch starców, kazał im przyciągnąć sanie przed aptekę, proboszcz wsiadł i szturchając dziadów laską, pojechał do plebanii, odległej o pół wiorsty.

Gdyby biuro bezpłatnej porady prawnej istniało w Łomży, biedacy dziady dowiedzieliby się może, że służy im prawo zaskarżenia do sądu tego naśladowcy rzymskich tryumfatorów, którego postępek podchodzi pod określenie prawne „udręczenia."

Świeżo właśnie senat roztrząsał sprawę, w której wyjaśnił, co należy nazywać udręczeniem. Pisaliśmy już poprzednio o pedagogu łódzkim, p. Wolnickim, który karał swoich uczniów chłostą rózgami i dyscypliną, przywiązywał ich do ławki lub podłogi zapomocą sznura i specyalnie na ten cel przeznaczonego kółka żelaznego, wreszcie zamykał w kozie na całą dobę o chlebie i wodzie. Sąd okręgowy i Izba sądowa warszawska uwolniły Heroda łódzkiego od wszelkiej odpowiedzialności z tej zasady, że Wolnickiemu oddawano zwykle do poprawy dzieci zepsute, których rodzice sami prosili o surowe obchodzenie. Prasa nasza, która nie wiadomo dlaczego stale wszelki czyn samowoli i gwałtu, popełniony przez człowieka inteligentnego, stara się usprawiedliwić i nadaje obronie tej niemal znaczenie sprawy ogólnej, bezczeszcząc w ten sposób cały naród, przeszłość jego i teraźniejszość — przyjęła wyrok z zadowoleniem. Ale senat słusznie bardzo zwrócił uwagę, że wola rodziców posiada pewne prawem określone granice, że udręczenia dokonywane przez Wolnickiego noszą wszelkie cechy gwałtu, którego i rodzicom względem dzieci dopuszczać się nie wolno i wyrok skasował. Rzeczywiście, żaden zakład poprawczy, chociaż zamienia przecie więzienie, nigdy nie stosuje takich środków kary, które przypominają tortury średniowieczne. Wymowny adwokat dręczyciela wystąpi znowu zapewne z frazesami o ojcowskim stosunku przełożonego z uczniami, o tradycyi naszej szkoły i innych pięknych rzeczach, ale właśnie dla honoru tej szkoły należy potępić surowo, mniejsza o to, jaki będzie wyrok sądu, nieludzkie postawienie się nad dziećmi potępić wyraźnie i dobitnie występne nadużycie, nie zaś okrywać go płaszczykiem zasady.

„Doniosłe znaczenie obyczajowe" teatru w Lublinie uwidoczniło się już na drugiem, czy trzeciem przedstawieniu. Dwie chórzystki spóźniły się trochę na scenę, ponieważ nieobeznane z miejscowością, trafić nie mogły do właściwych drzwi. Reżyser, przyjmujący również udział w przedstawieniu, obsypał je za to gradem brutalnych wymysłów, które słychać było w całej sali. Przelęknione dziewczyny uciekły, reżyser zaś tłomaczył się tem, iż nie wiedział, że nowy teatr posiada takie doskonałe warunki akustyczne.

Po szumnych pochwałach przedsiębiorców budowy nastąpiły teraz łajania zarządu teatralnego w Lublinie. Ta druga serya artykułów o teatrze lubelskim powstała z tak mizernych i poziomych pobudek, że budzi wprost obrzydliwość. Znalazły się pisma, które dały głos obrażonej dumie pp. reporterów, rozgniewanych, że zarząd nie czekał ich przybycia na kolei, oraz że redaktor *Gazety lubelskiej*, zjawił się dopiero przy końcu śniadania, co dowodzi braku szacunku dla przedstawicieli prasy warszawskiej. Sroży się najbardziej ta rzesza reporterska, która w dziennikarstwie warszawskiem spełnia poślednie funkcye, w Lublinie zaś pragnęła „przedstawiać" prasę polską. Że też p. Puchniewski, który jako dyrektor teatru ogródkowego pamiętał nieraz o kolacyach dla pp. reprezentantów, nie szepnął nic do ucha członkom zarządu.

J. Nieborski.

Kowno. Szkoła realna, do założenia której przyczyniła się najwięcej gmina żydowska, ofiarowała bowiem 15,000 rs. jednorazowo i 5,000 rocznego zasiłku, otwartą będzie już w r. b. to jest z początkiem roku szkolnego. Zarząd miejski bezpłatnie daje plac pod budowę gmachu i obiecuje stałą zapomogę, którą przyrzekli również i obywatele okoliczni.

RÓŻNE GŁOSY.

PRASA ROSYJSKA.

Nowoje Wremia, które z powodu mowy Bismarka przytaczało zdanie Proudhona o szlachcie polskiej, z niewiadomych nam przyczyn zmieniło nagle swój pogląd w tej sprawie:

„Zanotujemy wreszcie najnowszy rys wspólności *sprawy*: na barykadach berlińskich w r. 1848 demokracya kosmopolityczna bratała się z polakami, a odtąd mieliśmy już komunę paryską, której dowódzcami byli naczelnicy ostatniego powstania, i słyszeliśmy o niedawnych procesach stanu, przekonywających o związku demokracyi kosmopolitycznej z marzeniami o odbudowaniu Polski. Wszystko to dowodzi, mówiąc nawiasem, jak przestarzałemi są opinie Proudhona o polakach, który widział w nich tylko feodalno-klerykalne tendencye, zmierzające aż do przywrócenia pańszczyźnianych stosunków w prowincyach rosyjskich. Obecnie szkodliwą jest nawet wiara w podobne krańcowości. Tendencye arystokratyczne polaków, jak o tem świadczy historya, umieją zniknąć przed krańcowemi dążeniami, o klerykałach zaś i jezuitach nie ma co rozprawiać, nie napróżno przecież nazywają ich czarnem stowarzyszeniem międzynarodowem, równoległem ze stowarzyszeniami socyalistów.

Nie chcemy przez to powiedzieć, iż sprawa Polski i rewolucyi międzynarodowej są jednem i tem samem, ale Bismark wskazuje w swojej mowie, iż możliwy jest chwilowy związek między tymi pozornie przeciwległymi obozami tak samo, jak ilustruje umiejętność polaków do zawierania związków ze wszelkiemi potrzebnemi im stronnictwami."

W **S. Peterb. Wiedomostiach** czytamy:

„Obwieszczenie *Prawit. wiestnika* o procesie socyalistycznym, roztrząsanym przez warszawski sąd wojenny, dało powód *Moskowskim wiedomostiom*, do zbyt stanowczego wyprowadzenia wniosków o łączności sprawy polskiej z rosyjskim socyalizmem. Dziennik p. Katkowa twierdzi, że po roku 1863 polacy zaczęli się kojarzyć między innymi z rosyjskimi także socyalistami. Właściwie wszystko to dowodzi tylko, że rewolucyoniści polscy i socyaliści rosyjscy gotowi są zawsze podać sobie dłonie nawzajem. *Moskowskija wiedomosti* mogłyby wskazać dawniejszy jeszcze przykład: dekabryści z Pestelem na czele toczyli z polakami dyplomatyczne, co się nazywa, rokowania o przymierze. Fakt zespalania się rosyjsko-polskiego na gruncie socyalizmu nie ulega wątpliwości, ale nie należy stąd wnosić, jakoby socyalizmem zarażone było całe polskie społeczeństwo, pod którego adresem *Moskowskija wiedomosti* przesyłały filipiki swoje. Przepowiedzieć można z pewnością zupełne fiasko pokusom zaszczepienia w masach polskich drogą socyalizmu arystokratycznej idei odbudowania Polski; dobre warunki ekonomiczne dosyć trwale ją zabezpieczają przed tem niebezpieczeństwem. Z drugiej strony wpływowe warstwy polskie nie okażą chyba współczucia dla anarchii socyalistycznej. Raczej oczekiwaćby można nowych prób od anarchistów rosyjskich i międzynarodowych — poruszenia tej mało wyzyskanej roli w Polsce i rzeczą jest pożądaną, ażeby społeczność polska sama siłami wspólnemi odparła te próby."

Moskowskija Wiedomosti podają ciekawą wiadomość:

„Donoszą nam ze źródła, nie podlegającego wątpliwości, że w październiku r. z. z rozkazu księcia bułgarskiego przyjęci zostali do służby i mianowani dowódzcami parowców darowanych przez Rosyę — emigranci rosyjscy, b. oficerowie floty: Włodzimierz Łucki i Serebriakow. Ostatni z nich przyjął nazwisko Blank i uchodzi za szwajcara. Obaj dotychczas dowodzą parowcami flotylli bułgarskiej, Serebriakow nawet zarządza w Ruszczuku oddziałem minerów, jako wyprobowany specyalista. Dotychczas kochające wolność państwa, dając schronienie naszym wychodźcom, nie rozdawały im urzędów, ale wytworzony przez nas rząd Bułgaryi, którą wskrzesiliśmy i ocalili krwią naszą, przewyższył pod tym względem Szwajcaryę i Anglię."

KRONIKA BIEŻĄCA.

Zakłady dobroczynne. Z funduszu użyteczności publicznej użytą będzie suma $1\frac{1}{2}$ miliona rubli na założenie trzech przytułków dla nieuleczalnych chorych.

Bank państwa oblicza, że obecnie znajduje się w obiegu asygnat na 1,046,000,000 rs., zapas złota i srebra wynosi zaś tylko 171,472,495 rubli.

Konkurencya. Pomimo przeprowadzenia kolei iwangrodzko-dąbrowskiej, omnibusy prywatne wożą pasażerów z Radomia do Warszawy. Podróż końmi kosztuje 75 kop. od osoby, bilet kolejowy... 2 ruble.

Sprawy szkolne. Projekt, wypracowany przez zarząd okręgu naukowego warszawskiego, zwiększenia liczby szkół w gub. lubelskiej i siedleckiej, którego wykonanie wymagało 900,000 rs. jednorazowego wydatku i 460,000 rs. rocznego wsparcia, odrzucony został przez ministeryum oświaty, ponieważ nadawał on szczególne prawa szkołom niemieckim, istnienie któ-

rych uważa rząd za szkodliwe. Tak donosi *Nowoje Wremia*.

Mowy ks. Bismarka w tysiącznych odbitkach rozrzucane są po całych Niemczech pod różnemi sensacyjnymi tytułami, jak np.: „Starania Windhorsta o przywrócenie niepodległej Polski“ itp.

Szkoła sztygarów w Dąbrowie otwarta będzie już w r. b.

Zakaz. P. policmajster warszawski zabronił małoletnim zajmować się sprzedażą uliczną zapałek, papierosów itp.

Prasa polska. P. K. Lewicki dyrektor warszawskiego Muzeum pszczelniczego, otrzymał pozwolenie na wydawanie miesięcznika p. t.: *Pszczoła*.

— W Poznaniu wychodzić zaczęło pismo ilustrowane: *Gawędziarz*.

Bibliografia. *Sprawozdanie z piśmiennictwa naukowego polskiego w dziedzinie nauk matematycznych i przyrodniczych* za rok 1884, Warszawa.

— Ostoja, *Szkice i obrazki*. Petersburg.

— *Rocznik Towarzystwa ogrodniczego warszawskiego* za rok 1885. Warszawa.

— Hayek. *Wielki atlas zoologii, botaniki i mineralogii*. Zeszyt 7.

— Piotr Jaxa-Bykowski. *Konkurenci kasztelanki*. Kraków—Warszawa.

— Kazimierz Burzyński. *Tahir bej*. Powieść ze wspomnień życia obozowego. Tomów 2. Warszawa.

Lenartowicz posiada w rękopisie kilka wykończonych poematów: *Sokrates, Kolumna Trajana* i inne, oraz zbiór wierszy ulotnych p. t.: *Liryki różne*, ale nie może znaleźć nakładcy, któryby wydał te utwory, chociaż rozmaite wierszowane ramoty wychodzą corocznie z druku.

Nouvelle-Revue drukuje powieść przedśmiertną Turgeniewa, którą zmarły powieściopisarz dyktował w ostatnich dniach życia. Wyjątki z pamiętników Turgeniewa zamieszcza *Ruskaja Staryna*.

Rosyjskie towarzystwo zachęty przemysłu i handlu opracowało projekt „zabezpieczenia praw poddanych rosyjskich do pracy,“ w którym żąda ograniczenia cyfry robotników cudzoziemców do $1/3$ ogólnej liczby pracujących w fabryce. Dyrektorami fabryk mogą być tylko krajowcy.

Statystyka. Departament rolnictwa rozesłał szematy dla zbierania danych o hodowli bydła w Królestwie. Kwestyonarze te, zbyt może szczegółowe, są dwojakie: jedne dla wójtów gmin, dotyczące hodowli bydła u włościan, drugie dla obywateli ziemskich.

Zmarli. Jamin, sławny fizyk, sekretarz stały Akademii nauk w Paryżu.

— Adam Bartoszewicz, zasłużony wydawca *Biblioteki Mrówki* we Lwowie.

— J. Janicki, zarządzajacy biblioteką Krasińskich w Warszawie, bibliograf i historyk.

8

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Pani T. K. w Genewie. Nie mając adresu Pani, musimy tu odpowiedzieć, że artykuł pomieszczony być nie może.

A. H. Omyłka zecera, nie autora, który wiedział, że szyb w Germinalu nazywa się *Voreux*, nie *Voreut*. Powiastka M., zdaje się, była już tłomaczoną.

P. Z. Ar. w Kutnie. Dobrych nie ma. Znośne Chociszewskiego i Siemieńskiego.

Niewrzód. Od formy do pseudonymu — wszystko w wierszu Pańskim okropne.

P. E. Mak. w Olszanie. Posłaliśmy do Horodyszcza (według stempla karty pocztowej), chociaż zdaje się, że Pan nie w naszej administracyi prenumeruje *Prawdę*.

P. K. w Petersburgu. Za N-ry 51 i 52 należy nam się (z przesyłką) kop. 44.

P. Ch. R. w Przasnyszu. Tom V Niemcewicza później wyjdzie.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 7 Февраля 1886 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.